

## „Willa Zacisze” w Limanowej



Fot. Leszek W. Piławski

**Wspomnienia o przyjacielu  
Stanisławie Rakoczym**

**Śmierć przychodzi  
przed ambasadorem**

**Co pisała prasa 100 lat temu  
o bitwie pod Limanową**

**Wspomnienia  
o Adamie Salamonie**

**70. rocznica śmierci Józefa Becka**

**Odświeżenie tablicy  
Szkoły Strzeleckiej w Stróży**

**Teatr i Chór Włociański  
w Limanowej**

**Ostatni lot nad Szczawą**

**Rafineria w Sowlinach  
- Inaczej - cz. 2**





**Stanisław Rakoczy  
(1948-2013)**





# Wspomnienie o przyjacielu Stanisławie Rakoczym

Początki rodu Rakoczych na Limanowszczyźnie są mało znane. Gdy poprosiłem Stasia we wrześniu 2012 r., by opowiedział mi o początkach jego rodziny, o swoich korzeniach, a w szczególności o przodkach po mieczu, których nazwisko brzmi z węgierska, powiedział mi, że nic nie wie na ten temat i nie zna początków swojego rodu. Gdy zapytałem go o Jerzego Rakoczego - księcia Siedmiogrodu, zachnął się, a następnie uśmiechnął i odpowiedział zdecydowanym głosem: *Nie mam z nim nic wspólnego. Jeśli zaś chodzi o moje nazwisko - dodał - to jest mi bliżej do Tadeusza Rakoczego - biskupa seniora bielsko-żywieckiego, ale to też nie jest moja rodzina.* Po chwili dodał jeszcze: *W Krakowie żyła i działała znana lekkoatletka Helena o takim samym - jak ja noszę - nazwisku, ale i z nią nie mam nic wspólnego.* Gdy tak podpytywałem go i naprowadzałem, by uchwycić początki jego rodu w okolicach Limanowej (być może w Mordarce, gdzie przyszedł na świat), po chwili namysłu opowiedział mi niezwykłą historię, jakby ze średniowiecznego eposu czy rodowej bajki wziętą, którą na koniec okraszył zdecydowaną reprzyzą, czyli powtarzając zdanie po dwakroć: *[Ja to przyjmuję, chociaż z trudem w to wierzę:], ale moge ci ją opowiedzieć.*

A oto owa historia (raczej jej happy end), opowiedziana przez jego ojca Jana, a mnie przekazana przez Stasia owego wrześniowego, słonecznego popołudnia.

*Gdzieś w czasach Rabacji Chłopskiej, a może w okresie Wiosny Ludów, prawdopodobnie w latach 1846-1848, mój pradziadek, którego imienia nie pamiętam, przebywał na Limanowszczyźnie lub Sądecku, pełniąc służbę w wojsku austriackim. Dzięki niezwykłym zdolnościom manualnym (był tzw. złotą rączką), ale także intelektualnym, szybko zyskał sobie sympatię i wdzięczność pana dworu, do którego się dostał i u niego przez jakiś czas pracował. Po latach, gdy mój pradziadek opuszczał siedzibę, żegnany przez pana dworu po latach służby, otrzymał zamiast zapłaty dwa bochenki chleba: jeden był przeznaczony dla niego, drugi zaś dla jego wybranki. Z czasem okazało się, że w tym bochenku razowego chleba dla wybranki, którą poślubił, znajdo-*

*wały się cenne klejnoty i monety. Tu Staś uśmiechnął się jednoznacznie: To historia, której przekaz ustny szanuję, należy do tzw. imponderabiliów mojego rodu, ale jeśli w niego wierzę, to na pewno nie w sposób dosłowny - tu zatrzymał się patrząc na mnie badawczym wzrokiem - i dodał: w tych dwóch bochenkach upatruję jakiś wielką przenośnię i tak ją obecnie próbuję zrozumieć i odczytać. I dodał jeszcze na koniec: gdy codziennie odmawiam modlitwę: Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj, przed oczyma staje mi ta niecodzienna historia.*

Ta historia w tym wydaniu brzmi naprawdę jak jakaś średniowieczna saga, dlatego nie wierzę i ja w dosłowność tej opowieści. Należy jednak dodać, że ludzie starodawnych czasów mieli niezwykły dar opowiadania - dar narracji i konfabulacji. Ale być może to co opowiedział mi Staś, to tylko część tego, co mogło być przekazywane z pokolenia na

pokolenie i w formie skrótovej - niemal purystycznej przetrwało do naszych czasów, a więc w rzeczywistości mogło się zdarzyć. Bo chociaż życie nie jest bajką, to bajki w życiu się zdarzają. Ten epizod o bochenkach chleba był popularny na Węgrzech i w Niemczech, skąd - być może - przedostał się do Limanowej. Z pewnością jest to też pewna przenośnia, a może nawet alegoria, mówiąca o tym, że człowiek sam w sobie jest wiele wart, ale gdy znajdzie drugą połowę to tak jakby znalazł bochen chleba z kosztownymi klejnotami i monetami. Tymi klejnotami, poza prababką, byli - tak mi się wydaje - jego pradziadek, dziadek, ojciec Stasia i Staś we własnej osobie. Staś był niezwykłym klejnotem, jednak dla starszego już, gdy się urodził ojca. Gdy tak po tej niecodziennej opowieści dopytywałem o rodzinę ze strony jego ojca Jana, wymienił mi jeszcze kogoś z okolic Nowego Sącza i to było chyba wszystko.

Początki znajomości - Moje kontakty ze Stasiem zaczęły się jeszcze pod koniec lat 60. w Limanowej, gdy on ze swoim kolegą Andrzejem Matuszewskim, przyjeżdżając z Krakowa na niedzielę do Limanowej, służył do Mszy św. niedzielnej, tzw. dziewiątki młodzieżowej - „Młodzieżówki”. Ja byłem nieco młodszy od nich, więc brać studencka traktowała takich jak ja, jakbyśmy to dziś powiedzieli, jako małałatów; chociaż nie dali mi nigdy tego odczuć.

Natomiast bliższa znajomość ze Stasiem zaczęła się dopiero w okresie studiów od 1971 roku, gdy rozpocząłem studia na I roku filologii germańskiej. Staś próbował zorganizować w Krakowie tzw. Grupę Limanowską, tzn. studenci, którzy pochodzili z Limanowej, a także ci, którzy ukończyli Liceum Ogólnokształcące (dzisiaj I LO im. Władysława Or-

**Fotografie na stronie 2:** Fot. 1, 2 - Stanisław Rakoczy w czasie pielgrzymki do Ziemi Świętej. Fot. 3 Poświęcenie kapliczki przewodnickiej na Golcowie, Stanisław Rakoczy stoi pierwszy z lewej przy ołtarzu polowym - 30 września 1995 r. Fot. 4 - Obchody 200. lecia Konstytucji 3 Maja - 1991 rok. Przy arkadach, po stronie północnej kościoła limanowskiego stoją od lewej: Stanisław Rakoczy, Jan Baluta, ks. bp Piotr Bednarczyk, prof. Wiesław Chrzanowski - marszałek Sejmu RPI kadencji, ks. dr hab. Stanisław Sojka, ks. prałat Józef Poręba, ks. Władysław Pasiut.

► kana) w Limanowej, powinni się byli integrować, a więc spotykać po Mszy św. niedzielnej u św. Anny w duszpasterstwie akademickim, gdzie postacią wybitną był biskup Jan Pietraszko lub w duszpasterstwie akademickim u oo. Dominikanów, w tzw. „Beczce”, gdzie postacią pierwszoplanową był ojciec Tomasz Pawłowski. Chodziło bowiem o to, aby studenci mogli się spotykać we własnym gronie (limanowskim) i mogli wymieniać swoje poglądy, by w tej epoce wyobcowania, nie czuli się samotni. Staś był jednakiem, więc wiedział, co to jest samotność. Chodziło także o to, by kultywować własne tradycje i pokazać pozostałej społeczności akademickiej, że Limanowa ma własne środowisko akademickie, duszpasterskie i kulturowe, by wiara wyniesiona z domu rodzinnego była kontynuowana i na obcym gruncie umacniana.

Tworzenie tej limanowskiej grupy w Krakowie szło jednak nieco po grudzie, a limanowianie uczestniczyli w tych spotkaniach raczej sporadycznie, dlatego Staś w porozumieniu z duszpasterzami limanowskimi z proboszczem ks. Ludwikiem Kowalskim na czele i innymi księżmi pracującymi wówczas w naszym mieście, m.in. z ks. Józefem Porębą - prof. religii w Liceum Ogólnokształcącym, późniejszym proboszczem limanowskim, przeniósł je do Limanowej i odbywały się one dwa razy do roku: w okresie Świąt Bożego Narodzenia i Świąt Wielkanocnych. Przychodził na nie również ks. Jan Bukowiec, prof. religii w Liceum Pedagogicznym, późniejszy proboszcz parafii Limanowa-Sowliny, który opowiadając różne ciekawe zdarzenia, tryskał humorem i dowcipem, co braci studenckiej niezwykle przypadło do gustu.

Księżom proboszczom i ich współpracownikom bardzo zależało na tych spotkaniach. Były one bardzo lubiane przez żaków i przychodzili na nie studenci różnych kierunków i wydziałów, przede wszystkim z UJ, ale także z AGH, WSP (późniejszej AP), jak również z Politechniki Krakowskiej czy WSR (późniejszej AR) i innych krakowskich uczelni, jak również, chyba pojedynczy studenci - alumni seminarium tarnowskiego. Sala spotkań na plebanii limanowskiej pękała w szwach, bowiem spotkania te przypadły do gustu obu stron: tak księżom, jak i studentom. Spotkania z okazji Świąt Bożego Narodzenia, które rozpoczynały się Mszą św. w kościele,



Dom rodzinny w Mordarce.

oprócz poznania się, składania sobie życzeń i łamania się oplatkiem, miały charakter integracyjny: zasadzały się na rozmowach, dyskusjach i wymianie poglądów, natomiast z okazji Świąt Wielkanocnych miały bardziej charakter modlitewny: refleksji i zadumy. Studenci przygotowywali poszczególne stacje Drogi Krzyżowej, a następnie podczas studenckiej Drogi Krzyżowej, która miała miejsce w kaplicy Świętokrzyskiej (kaplicy Relikwii), prowadzili nabożeństwo Męki Pańskiej. Staś brał udział w tych spotkaniach (zarówno Bożonarodzeniowych, jak i Wielkopiątkowej Męce Pańskiej). Później, gdy ukończyliśmy studia, spotkania takie organizował już ks. Stanisław Wojcieszak - prof. religii w LO w Limanowej, znacznie je jeszcze rozbudowując i ich ilość zwiększając.

W Krakowie spotykałem się ze Stasiem bardzo często, szczególnie w Bibliotece Jagiellońskiej, gdzie podczas przerw toczyliśmy długie dyskusje światopoglądowe filozoficzne i teologiczne. To od Stasia dowiedziałem się bardzo dużo o kard. Karolu Wojtyła, a po śmierci papieża Pawła VI powiedział mi: *Zobaczysz, że kard. Wojtyła zostanie papieżem.* Wówczas to było dla nas Polaków pobożne życzenie, ale z powyższego wynika, że wiadomości czerpał z kół dobrze poinformowanych, bowiem kard. Wojtyła został papieżem, ale dopiero po śmierci Jana Pawła I.

Rozmawialiśmy także o rodzicach, rodzinie, a nierzadko też o naszej kochanej Limanowej. Mówiąc o Matce, doznawał głębokiego smutku, że nie miał dostatecznie dużo czasu dla niej, by ją

w czasie studiów odwiedzać. Nierzadko cytował jej dosadne, życiowe powiedzenia. *Mama czuje się osamotniona jak ja* - dodawał. *Ale różnica pomiędzy mną a mamą jest taka, że ja mogę zadzwonić do swoich przyjaciół i cieszyć się ich obecnością.* Chociaż przyczyna smutku tylko jemu była wiadoma, na zewnątrz starał się jej nie okazywać.

Mówiliśmy często o prawie i prawodawstwie, o różnicy w podejściu do prawa w krajach germańskich, a słowiańskich. *U Germanów, a później u Niemców - mawiał Staś - nawet bezprawie odbywało się w majestacie prawa, a u nas w Polsce prawo pochodziło nierzadko z obcego kraju, toteż obchodzenie prawa było często mile widziane: tę zgubną przeszłość tak trudno dzisiaj zwalczyć, a tym bardziej naprawić.*

Staś zazdrościł Niemcom jasności i jakości sformułowań prawniczych. W wymianie poglądów i myśli Staś przybliżał mi dzieje polskiego prawa. W tym kontekście mówił mi o polskiej szkole prawa karnego, którego jednym z głównych przedstawicieli był prof. Juliusz Makarewicz (1872-1955), jeden z twórców, wydany w 1932 r., polskiego kodeksu karnego. Wspominał mi także o Julianie Makowskim (1875-1959), teoretyku prawa międzynarodowego czy też o Wacławie Makowskim (1880-1942), profesorze prawa karnego i państwowego na Uniwersytecie Warszawskim. Czerpałem sporo z jego wiedzy i doświadczeń prawniczych, a to poszerzało i wzbogacało moje horyzonty myślowe.





Stanisław Rakoczy z rodzicami Marią i Janem - Mordarka 1975 rok.

Staś był pilny i gorliwy w nauce. Gdy go zapytałem, co mu dało prawo jako człowiekowi w życiu osobistym i publicznym, odpowiedział mi na to pytanie z perspektywy prawniczej i wychowania religijnego: *Wiele, m.in. wraz z przykazaniami Bożymi nauczyło mnie umiaru i cnót obywatelskich. Pozwoliło mi głębiej wejść w sens formalny prawa, a nie tylko patrzeć na jego zewnętrzne formy. Z tego zrodził się mój swoisty kodeks obywatelskiego postępowania.* Stasiowi chodziło także o to, aby prawo znaczyło prawo, a sprawiedliwość - sprawiedliwość, by człowiek w Polsce był podmiotem prawa, a nie przedmiotem, jak często, niestety, miało to u nas miejsce. Drabina zawodowa (nie lubił słowa kariera), po której się piął, zaprowadziła go najpierw na aplikanturę, a następnie na szczebel radcy prawnego, co dało mu względną stabilizację zawodową i życiową. Kolejny szczebel to notariusz - to godne i zaszczytne stanowisko i chyba jego osobisty ideał i zadanie życiowe. Tu muszę wspomnieć pana rejenta Stanisława Zatorskiego z Bochni, który wprowadzał Stasia w arkana pracy notariusza i o którym Staś mówił zawsze z wielkim szacunkiem.

Wracając pamięcią jeszcze do czasów studenckich, jako student germanistyki pomagałem Stasiowi w języku niemieckim, udzielając mu konsultacji, gdy tylko tego potrzebował. Jedno z takich spotkań, które odbywało się w pokoju Stasia w Domu Studenckim „Żaczek”, z mojego punktu widzenia było dramatyczne, gdyż w jego trakcie, wpadł jakiś

student, prosząc Stasia do telefonu. Staś wypadł z pokoju jak strzała, ale jak szybko wypadł, tak szybko nie wracał. Czekałem na jego powrót przez dwie godziny, denerwując się, że musiała być jakaś niezwykła okoliczność i zapewne tak było, że Staś wypadł i zostawił mnie bez słowa... w czterech ścianach. Aż wreszcie pojawił się jego współlokator, więc opowiedziałem mu w skrócie co zaszło i wyszedłem, gdyż miałem swoje terminy i tak już nadwyreżone. Jeszcze w listopadzie ubiegłego roku, gdy odwiedziłem go z żoną (tu chciałbym dodać, że Staś był świadkiem na naszym ślubie), powróciliśmy do tego wydarzenia i Staś zapytał mnie wówczas, czy udzieliłem mu stosownej reprimendy, a ja odpowiedziałem, że nie, gdyż musiało zajść coś niezwykłego, skoro tyle czasu musiał tej sprawie poświęcić i tak długo nie wracał do swojego pokoju. *Tu muszę ci wyznaczyć - dodał Staś - że był to dla mnie ważny i zwrotny moment w moim życiu, od którego zacząłem uczyć się ważnej kultury kontaktów międzyludzkich.*

Staś był głęboko wierzący i bardzo przywiązany do Kościoła Katolickiego do tego stopnia, że jako uczeń wiary Chrystusowej i zarazem jej misjonarz na jemu wiadomą skalę realizował „apostolstwo świeckich katolików”, czyli prowadził „misję nawracania na katolicyzm”. Tak było w przypadku NRD-owskiego Niemca Karola (Karl-Heinza) - studenta UJ, na którego miał taki wpływ, że ten po swoistych rekolekcjach Stasiowych, które my nazywaliśmy „rekolekcjami Rakoczego”, wybrał się na Mszę św. do ko-

ścioła OO. Dominikanów. Za ten odważny krok był przez swoich ziomków może nie prześladowany, ale sekowany, bowiem jako członek niemieckiej młodzieżowej organizacji partyjnej FDJ musiał się przed swoimi władzami partyjnymi długo i wyczerpująco „spowiadać”. Staś zabrał Karola, po uzyskaniu przez niego elementarnych podstaw edukacji religijnej, na procesję Bożego Ciała, którą prowadził kard. Karol Wojtyła z Wawelu bocznymi uliczkami Krakowa (a nie głównymi ulicami na Rynek, jak ma to miejsce np. obecnie). I w tym kontekście Staś dodawał: *Karolu! Widzisz! I tu masz jak na dłoni różnicę pomiędzy zapisem konstytucyjnym, który gwarantuje wolność wyznania, a jego realizacją. Krótko mówiąc: Teoria sobie, a praktyka sobie.* Na ten temat toczyli obaj ze sobą długie spory.

Staś mówił do niego tak: *Karolu! Ty, z takim nazwiskiem (nazywał się Seliger, a selig po niemiecku znaczy błogosławiony) musisz być święty, a przede wszystkim wierzący, bowiem już za życia jesteś błogosławiony.* Staś nie był natrętny w tych „naukach”, a Karol chętnie tego słuchał, gdyż przypadli sobie z pewnością do gustu. Karol odbył nawet pielgrzymkę do Limanowej, odwiedzając kościół (dzisiejszą bazylikę limanowską), a w nim Pietę Limanowską. W jednej z rozmów zastanawialiśmy się nad niemieckim terminem Yesperbild - odpowiednik włoskiego pieta. Ja muszę wyznać, że początkowo nie lubiłem tego terminu, ale gdy wgrzyłem się w jego sens, stwierdziłem, że jest głęboki i bardzo wymowny. Karol, zaproszony przez moich rodziców do Limanowej, mieszkał w naszym domu rodzinnym przy ul. J. Żuławskiego. Zresztą odwiedziliśmy także moją ciocię Zosię w Nowym Sączu. Trzeba przyznać, że Limanowa z racji położenia bardziej mu się podobała niż Nowy Sącz. Innym razem z własnej inicjatywy Karol przyjechał do Limanowej, by odwiedzić Stasia. Był to czas Solidarności. Po co przyjechał? Bóg raczy sam wiedzieć! Niestety, go nie zastał, zastał jedynie jego Matkę. Na Jabłońcu wpadł samochodem do rowu i kilku gospodarzy miejscowych wyciągało jego samochód, a rodzina mojego Szwagra pp. Elżbieta i Walenty Lebdownie zaprosili go na niedzielny obiad z doskonałym rosołem z makaronem, który Karol zjadł ze smakiem, ale odjechał lekko zawiedziony, ▶

bowiem nie zastał Stasia w domu. Przekazał tylko pozdrowienia dla niego jego matce, która przyjęła nas (Karola i mnie) w progu. Wiem, że Staś swoją misję ewangelizacyjną prowadził także w wojsku, gdy w czasie stanu wojennego został wcielony do wojska. Staś - podsumowując tę jego chrześcijańską działalność - nie bał się komunizmu, o czym wspominała ostatnio jego żona Ewa (zob. poprzedni numer „Echa Limanowskiego”), ponieważ żył Ewangelią i postępował zgodnie z nią, a w Ewangelii w Psalmie 27 możemy przeczytać: *Choćby tysiąc wojsk było przeciwko mnie, nie ulękę się, gdyż Ty jesteś ze mną*.

Jego katolicyzm, który był swoistą mieszkanką katolicyzmu tradycyjnego (ludowego) z katolicyzmem intelektualnym, wywodził się w swej pierwotnej warstwie z katolicyzmu „generacji ojców”. Nie przeciwstawiał się mu, lecz wyciągał z niego swoje dobro, łącząc go z katolicyzmem „generacji młodych” (oprócz polskich czytał książki francuskich intelektualistów katolickich, np. Jacquesa Maritaina: *Humanizm integralny* czy Francois Mauriac: *Kłębowisko zmił* oraz *Faryzeuszkę*). Jeszcze jako student miał pokaźną bibliotekę w tym zakresie). Tęsknił za wartościami absolutnymi, wzdychał za powrotem do potęgi słowa. Pragnął urzeczywistnić ideał miłości w konkretnej jemu tylko znanej postaci. Kładł ogromny nacisk na cnoty charakteru, pragnąc wyrobić w sobie siłę ducha. Wierzył głęboko w rewolucję różańca, organizując różańcową krucjatę - modlitwę z różańcem w rękę do Krzyża na Miejską Górę dla poparcia Radia Maryja. Był wdzięczny obecnemu Proboszczowi za to, że wyraził zgodę na tę krucjatę (Marsz z Różańcem).

Staś odczuwał ogromną cześć do Matki Najświętszej. Wiem, że corocznie uczestniczył w pielgrzymce prawników na Jasną Górę, bowiem w tych pielgrzymkach uczestniczył także mój brat Winicjusz - radca prawny. Staś bywał, gdy mu tylko zdrowie na to pozwalało, na Wzgórzu Pasierbieckim, by u Matki Boskiej Pocieszenia szukać pociechy. Często w rozmowie ze mną wspominał ks. prał. Józefa Waśniowskiego - proboszcza tego sanktuarium, który go zresztą w jego biurze na ul. MB Bolesnej odwiedzał. Wspierał sanktuarium limanowskie na różne sposoby, wspomagając budżet odnowy bazyliki chociażby przez zakup sporej ilości

książek, m.in. monografii o bazylice limanowskiej. Wiem i mogę to poświadczyć, gdyż wielokrotnie przyjeżdżał do mnie i prosił o wpis dedykacyjny i podpis autora, a książki te wręczał różnym swoim znajomym i zasłużonym ludziom w Polsce. Miał wielki kult MB Limanowskiej i dużym szacunkiem darzył bp. Piotra Bednarczyka i kustoszów limanowskich, przede wszystkim ks. prał. Ludwika Kowalskiego i prał. Józefa Porębę. Staś był hojnym, a nawet szczodrym człowiekiem, wspierał biednych, ale także wszelkie pozytywne inicjatywy społeczne, naukowe i charytatywne.

Staś był przywiązany do Społecznej Nauki Kościoła. Posługiwał się często takimi pojęciami, jak system wartości, wartość moralna i etyczna czy miłość bliźniego. Był w swych poglądach nieprzejednany, jakby był uczniem i zarazem epigonem totalitaryzmu uczuć i utopijnego radykalizmu przekonań. Jako prawnikowi i głęboko wierzącemu człowiekowi granice świata dualistycznego: świata chrześcijańskiego i pogańskiego, nieba i piekła, zbawienia i potępienia, jawiły się wyraziście i ostrzej niż przeciętemu zjadaczowi chleba. A przecież *nie samym chlebem żyje człowiek* - często do mnie mawiał. Gdy mówiłem mu o swoich doświadczeniach życiowych, sprowadzał je do zasadniczej i fundamentalnej formuły: *Im więcej będziesz się zajmował sztuką i architekturą kościelną, tym więcej oporu będziesz napotykał na swojej drodze. Gdyż przy wielkich sprawach zawsze znajdzie się grupa ludzi, która stworzy piekielko, przysłowiowe „polskie piekielko”, w którym diabeł kręci, nie tylko ogonem*. W tym kontekście życzył mi prawych ludzi na mej drodze życiowej i naukowej, ostrzegał mnie przed pewnymi pokrętnymi, niepewnymi, naukowymi typami, którzy kopią dolki pod innymi. Ale dodawał: *Bądź pewny: Kto pod kim dolki kopie, sam w nie wpada*. Staś jako przyjaciel śledził z bliska moje osiągnięcia naukowe. Był na obronie mojej pracy doktorskiej na KUL w Lublinie, czego dowodem jest zdjęcie wykonane przez prof. Józefa Staniszewskiego, ukazujące uczestników tego miłego zgromadzenia pod pomnikiem papieża Jana Pawła II i prymasa kard. Stefana Wyszyńskiego na dziedzińcu KUL. Cieszył się niezmiernie moją kolejną książką *o Kościołach Krakowa*, będącą podstawą mojej pracy habilitacyjnej, ale mojej habilitacji już nie doczekał.



Stanisław Rakoczy składa gratulacje Józefowi Szymonowi Wrońskiemu po obronie pracy doktorskiej na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim - 1992 rok.

Nienawidził wielkiego miasta, bowiem dostrzegał w nim jedno ze źródeł wszelkiego zła. Ale zaraz dodawał: *ale trzeba tam być, by to zło minimalizować - zabijać w zarodku*, toteż często nie tylko ze względów osobistych i rodzinnych, ale także zawodowych bywał w Krakowie czy Warszawie.

Był człowiekiem, który poszukiwał szczęścia, a za każdym razem, gdy to szczęście go obejmowało, dopadało go coś, co go dręczyło, aż w końcu dopadła go okrutna choroba. Pod koniec życia, gdy był świadomy swojego stanu zdrowia, był wewnętrznie niespokojny o swoje zdrowie, o rodzinę, o przyszłość swoich utalentowanych córek. Był głęboko zatroskany o formację moralną narodu polskiego, o pomyślność Polski i Kościoła w Polsce. Cieszył się jak dziecko, gdy ordynariuszem tarnowskim został nasz rodak ks. bp dr Andrzej Jeż.

Nie wiedziałem, że w ostatnich latach pełnił posługę akolity w swoim parafialnym kościele Św. Józefa Robotnika w Starej Wsi, chociaż często wspominaliśmy zacnego proboszcza starowiejskiego ks. Mariana Tyrkę i jego zasługi w dziele budowy kościoła i prowadzenia przez niego parafii. Nigdy mi o tym, że jest akolitą, nie mówił, chociaż ostatnio spotykaliśmy się bardzo często (w Limanowej czy w Krakowie). Chyba dlatego mi o tym nie mówił, że był skromny i nie lubił rozgłosu.





Stanisław Rakoczy przed bazyliką św. Franciszka w Asyżu - 2012 r.

W ostatnich latach dużo mówił do mnie o prawidłowym odżywianiu się. Dbalność o dietę stała się dla niego zadaniem priorytetowym. Staś należał do dobrze wykształconych ludzi epoki, ale był więcej niż studentem, był więcej niż prawnikiem, był więcej niż posłem, był więcej niż głęboko wierzącym katolikiem, był po prostu dobrym człowiekiem, a człowiek to brzmi dumnie, jak często można jeszcze dziś usłyszeć, powtarzając tę maksymę za poetą. Był mądrym i doświadczonym człowiekiem o nieugiętym i niezłomnym charakterze. Nie złamała go nawet nieuleczalna choroba, odchodził więc z honorem w otoczeniu swych Najbliższych. Do śmierci przygotowywał się już od dawna. Nie była ona dlań straszna, gdyż od jakiegoś już czasu realizował „linię śmierci dla życia w Chrystusie” (cyt. za B. Haringiem, *Das Gcsetz Christi*).

Pożegnanie miał iście królewskie. Mszę św. w kościele parafialnym w Starej Wsi odprawiało 13 księży w koncelebrowaniu m.in. z proboszczami limanowskimi i z proboszczem starowiejskim na czele, a kazanie zwarte, głębokie, mądre, pełne treści i chwytające za serce wygłosił ks. prałat dr Karol Dziubaczka. W świątyni zebrały się tłumy, a żegnali go w ciepłych i serdecznych słowach m.in. ks. pro-

boszcz Marian Tyrka, ks. Antoni Augustyn - jego kolega licealny, ks. Zbigniew Stabrawa - budowniczy kościoła w Mordarce, ale także kolega z ławy poselskiej Marszałek RP Marek Jurek, poseł Ziemi Limanowskiej Wiesław Janczyk oraz senator RP i zarazem kolega ze studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim mec. Zbigniew Cichoń wraz z małżonką. Obecni byli reprezentanci różnych limanowskich środowisk twórczych i zacni limanowianie z burmistrzem Władysławem Biedą oraz redaktorem „Echa Limanowskiego” Stanisławem Ociepką na czele, który dla potomności na łamach ostatniego numeru limanowskiej poczytnej gazety pozostawił relacje z tej smutnej, pożegnalnej uroczystości.

Poniedziałkowy dzień grudniowy był dżdżysty. Twarze wielu uczestników pogrzebu też były mokre, ale nie tylko od deszczu. Nie była to także rosa, po której mały Staś tak lubił chodzić boso, tylko łzy, do których w ten dzień dołączył rzęsy deszcz. Niebo płakało, żegnając Stasia. W następnym dniu słońce świeciło w całej Polsce. Oto reżyseria nastroju i światła, której nikt sobie nie wymyślił, lecz była rzeczywista i naturalna, taka, jakim zawsze był Staś. To też wyraźny znak czasu - znak działalności Ducha Świętego, o którym często ze Stasiem rozmawialiśmy w ostatnim czasie.

Non omnis moriar - Śmierć naszego Przyjaciela możemy za poetą określić jako swoiste dopełnienie życia. Wbrew słowom popularnej piosenki nie odchodził w *samotności ani bez miłości*. Przeciwnie, otoczony był współpracownikami, przyjaciółmi, kolegami, których często odwiedzał, a od jakiegoś czasu to oni do niego przyjeżdżali. Otoczony był rodziną w osobie żony Ewy (pani doktor anestezjolog) oraz córek Ani (absolwentki krakowskiej ASP i doktorantki) i Małgosi (studentki archeologii Uniwersytetu Wrocławskiego i historii), które bardzo kochał i troszczył się o ich pomyślną przyszłość. Były one zawsze przy nim, by mu służyć, a także podejmować serdecznie gości, którzy pod koniec jego życia często nawiedzali ich uroczą siedzibę na niewielkim starowiejskim pagórku, nieopodal ukochanego miasta - Limanowej, której tyle zawdzięczał, ale i to ukochane miasto ma mu też za co dziękować. Jako poseł RP reprezentował miasto i Ziemię Limanowską. To Staś w imieniu Komitetu Obchodów 200-rocz-

nicy Konstytucji 3 Maja w Limanowej sprowadził marszałka Sejmu RP Wiesława Chrzanowskiego, który podarował parafii limanowskiej na ręce bp. Piotra Bednarczyka faksymile oryginalnego tekstu uchwał Konstytucji 3 Maja. Ten tekst to rarytas - biały kruk. Zasług jego dla parafii i miasta jest znacznie więcej, ale wymienię jeszcze dwie. Otóż Staś był członkiem Komitetu, który dokonał zmian w nazewnictwie ulic limanowskich po 1989 r. Działając w porozumieniu z proboszczem limanowskim ks. prał. Józefem Porębą, zaproponował zmianę ulic, m.in. ulicy Orkana na ul. MB Bolesnej. Była to słuszna decyzja historycznie i kulturowo uzasadniona, chociaż wielu się ona wówczas, nie podobała. Bowiem dzieje Piety limanowskiej wyznaczyły ten szlak, zanim powstała tutaj ulica zwana Stodolną, Zubrzyckiego i wiele innych..., a w końcu Orkana. To Matka Boska jako pątniczka w figurze Piety limanowskiej przemierzyła kilkakrotnie ten szlak, ostatnio w 1983 roku, gdy wracała po uroczystej rekoronacji przez Jana Pawła II na krakowskich Błoniach na swój tron w limanowskiej bazylice. Drugą zasługą, którą chcę wspomnieć, to Komitet Społeczny, do którego Staś należał i wiele w tym względzie robił, aby Pomnik Powstania Listopadowego i zarazem Nieznanego Żołnierza powrócił na swoje miejsce. Nosił się z myślą napisania na ten temat artykułu do „Echa Limanowskiego”, nosił go w swojej pamięci, a jego koncepcję zaprezentował mi w Krakowie na spotkaniu w Domu Polonii. Nie zdążył go jednak przelać na papier.

Myślę, że miasto za jego zasługi zobędzie się na akt podziękowania i nada mu jakieś pośmiertne odznaczenie. Myślę, że zasłużył sobie na to, aby jako pierwszy poseł po przemianach 1989 r. reprezentujący Limanową i Ziemię Limanowską otrzymał za swoją pracę na rzecz miasta, parafii i regionu zaszczytne podziękowanie. Może jedna z ulic, na terenie Starej Wsi, która - jak mi wspominał na miesiąc przed śmiercią - gdyby została przyłączona do miasta, mogłaby otrzymać jego imię. Bardzo się przysłużył miastu i społeczeństwu. Oddajmy mu tym samym należną cześć. Cześć jego pamięci. A ja - jak dawniej - jeszcze raz do Ciebie mówię: Do zobaczenia Stasiu!

**Fotografie: arch. rodziny Stanisława Rakoczego**



„... staje się co jakiś czas, żeby odpocząć, żeby się obejrzeć, żeby policzyć ile już było, a ile jeszcze zostało.” Nagrodzona fotografia Zbigniewa Sułkowskiego.

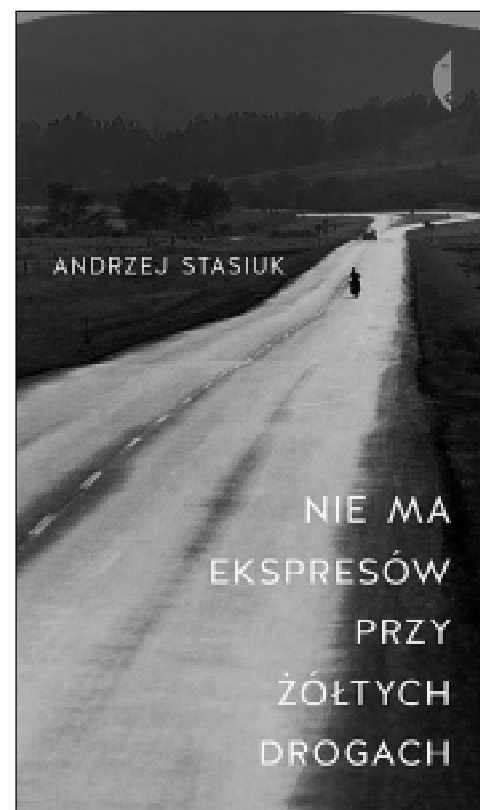
# To, co minęło, powraca

Sławek Łużny

**Wchodzi jak czuła igła w serce. Wystarczy szczegół. Dźwięk, zapach, obraz, chwila. Dostrzegasz coś kątem oka i minione powraca z niespodziewaną siłą.**

Powyższy cytat to fragment jednego z tekstów wchodzących w skład niedawno opublikowanej książki znanego pisarza Andrzeja Stasiuka, noszącej tytuł *„Nie ma ekspresów przy żółtych drogach”*. Przypomnijmy, że w nieodległej przeszłości mieliśmy przyjemność gościć go w Limanowej kilka razy. W jeszcze nieodleglejszej przeszłości, bo pod koniec ubiegłego roku, Instytut Książki oraz Wydawnictwo Czarne (wydające książki Stasiuka) ogłosiło fotokonkurs inspirowany książką *„Nie ma ekspresów...”*. Miał on formułę ogólnopolską, kierowany był do członków Dyskusyjnych Klubów Książki (ogólnopolski projekt, koordynowany przez Instytut Książki, mający na celu promować czytelnictwo i literaturę). Taki DKK działa przy limanowskiej bibliotece. W skład jury konkursu wchodził Andrzej Stasiuk, Szymon Kłosska (Instytut Książki) oraz Agnieszka

Łasek (szefowa działu promocji Wydawnictwa Czarne). Jednym z trzech zwycięzców został „nasz człowiek”, Zbigniew Sułkowski. – *Odzew bibliotek, które zgłosiły uczestnictwo był bardzo duży. Z niektórych DKK przyszło nawet po kilkanaście zgłoszeń, a zdarzało się, że ktoś przysłał więcej niż jedno zdjęcie. Prawdziwą przyjemnością dla jury było oglądać nadesłane prace, tym trudniejszy okazał się wybór trzech najlepszych fotografii. Zdjęcie pana Sułkowskiego wybraliśmy jednogłośnie. Cechuje je piękny nostalgiczny klimat, autorowi udało się zamknąć w kadrze niepowtarzalną ulotną chwilę i ocalić świat, który zniknął. Fotografie odczytaliśmy również jako symboliczne zaproszenie dla Andrzeja Stasiuka, głęboko sondujące jego prozę i wrażliwość pisarską.* – podkreśla Agnieszka Łasek.





# Niepalenie

„...bardzo dobrze czytało mi się ten tekst, lekkość pióra ironiczne podejście bez wulgarnego obrażania, praktycznie brak błędów ortograficznych ...” (~Azu)

Rzadki w rozsądku komentarz internetowy pod tekstem Andrzeja Stasiuka, wyraz uznania przeciętnego czytelnika, kto wie czy nie ucznia, dla sztuki pisania „z ironią i ortograficznie”. Bo Stasiuka tak w ogóle dobrze się czyta w szerokim kręgu, co nie zawsze się zdarza w przypadku czołowych twórców i dobrze, że zamieszkuje w nie tak odległym od Limanowej Wołowcu. Stąd zawsze trzymająca dłoń na pulsie możliwości chwalebnych dyrektor limanowskiej księgarni pani Halina Matras zdążyła przed odejściem na zbyt wczesną dla dobra kultury regionu emeryturę spowodować cztery (słownie: cztery) spotkania autorskie z autorem „Opowieści galicyjskich” i dwudziestu innych książek tłumaczonych już chyba na trzydzieści parę języków.

Ostatnia to wybór esejów (felietonów) publikowanych już wcześniej w pismach czy innych „nośnikach”. Nazywa się to razem wykrzyknikowo „**Nie ma ekspresów przy żółtych drogach**”. Owe żółte drogi, jakie by nie były, z „ekspresami”, których nie ma, nie należą do wiodących najkrócej, ale jadąc nimi przez lekturę Stasiukowych przypowieści trafimy i na Plac Tiananmen, i do Gardzienic na Ścianie Wschodniej. Lub w siemniężną pospolitość epoki minionej. Skąd przecie nasz początek ...

W odniesieniu do refleksji osobistej wybieram z „ekspresów” tekst poświęcony przypadłości powszechnej o zasięgu za *ancien regime* szczególnie szerokim.

„Przestałem palić siedem lat temu. Teraz mogę już tylko wspominać i robię to niemal z taką samą przyjemnością, z jaką paliłem. Dwadzieścia osiem lat wspomnień ...”

Andrzej Stasiuk „Palenie”

Palić przestałem osiemnaście lat temu.

Mój znajomy mawiał – Trzeba mieć silny charakter. Jak pałę, to pałę!

Więc mi zabrakło silnego charakteru, w końcu paliłem od siedemnastego roku życia przez trzydzieści cztery lata. Aż pomyślałem – po co się zaciągać nabojem z tytoniu, przecież to jest środek wymiotny?!

I zamiast do trzech paczek dziennie, nic. Patologia. Jedyna przykrość to brak spodziewanego efektu oszczędności finansów. Niepalenie to wyraz wolności? Paradoksalne, bo za PRL palenie tytoniu wszędzie i przez prawie wszystkich było substytutem wolności. Pewne rygory to ograniczały, ale ... po kolei.

No właśnie, kolej. Chyba od swego zarania podzieliła ludzkość na niepalących i palących. W latach 50-tych ub. wieku palić też wolno było w tramwajach, ale na „pomostach” przyczep (skrajnych sektorach wagonu przy wejściu). W autobusach PKS tego czasu były popielniczki. I tabliczki – „Palenie dozwolone za zgodą wszystkich pasażerów”. A brak zgody? U nas?

W filmie „Ostatni dzwonek” - z 1989 r. jeszcze - słabowity profesor fizyki pojękuje bezskutecznie – *Ja proszę, żeby na konferencji nie palić! Albo przynajmniej nie wszyscy na raz!*

Jeszcze o tramwaju. W 1969-70 dorabiałem na studiach jako motorniczy, przepraszam, w Krakowie: motorowy zasilający! Była niepisana instrukcja – zapalić sobie możesz po wyruszeniu z przystanku przedostatniego przed pętlą końcową. ▶



Z aparatem przy oku. Autor nagrodzonej fotografii - Zbigniew Sułkowski.

**(...) Okazało się nawet, że z ręką bez zatlonego lonu też można coś zrobić.**

Teraz kilka zdań po takiej mało obiektywnej i „dziennikarsko” prowadzonej linii, trochę per „ja” toczonych. Krótko, więc Czytelnik wybaczy. Zbyszka Sułkowskiego – przyjemność i honor znać mi Go osobiście, dlatego pozwalam sobie na tak śmiałą szarżę przez „Ty” – przedstawiać nikomu w Limanowej nie trzeba, czytelnikom Echa najmniej. Z tej kilkuletniej znajomości wniosek własny – pomiędzy innymi – wyciągam taki, że przycha On na oficjalnie i personalnie wysyłane w jego kierunku egzaltacje, budowanie ołtarzyków, kadzenie, oficjaliki, etc. Dlatego dość. Macie Państwo tu obok zamieszczone konkursowe zdjęcie. Sądzę, że nawet nie znając treści książki, a wiążąc chociażby jej tytuł z fotografią, możemy stuprocentowo przyjąć, że słowa Pani Agnieszki z Czarnego to nie kurtuazja, a Andrzej Stasiuk i reszta jury nie mieli problemu ze wskazaniem zwycięskiej fotografii.

Nie ma ekspresów przy żółtych drogach, nie ma i tych relacji Nowy Sącz – Chabówka. Ale minione powraca, nieraz z niespodziewaną siłą. Wtedy zostaje „obraz”. *Niewykluczono, że go zapomnę, lecz to nie znaczy, że go utracę.* (Andrzej Stasiuk, *Z daleka*).

I właśnie.

**ANDRZEJ STASIUK – Nie ma ekspresów przy żółtych drogach (Wydawnictwo Czarne, 2013)**

„Piszę o życiu, czujnie i z szacunkiem zerkając w stronę śmierci. Gdyby nie ona, milczałbym i zajął się pomnażaniem rzeczy i zdarzeń, zamiast pomnażaniem opowieści”. Mam wrażenie, że właśnie ten fragment jednego z tekstów wchodzących w skład *Nie ma ekspresów ...* może najcelniej definiować aktualne pisarskie oblicze i literacką narrację Andrzeja Stasiuka. Czy przypadkowo, czy intencjonalnie? Mało ważne.



Zaraz wracam.

najtańszych „Popularnych” oficjalnie kosztuje co prawda 3,50 zł, ale tu ta dwudziestka znaczy dla pałacza tyle, co dla Beduina diament na środku Sahary.

Na szczęście w moim miasteczku jest przedsiębiorstwo turystyczne „Śnieżnica”, którego autobusy wożą także pracowników do „Tytoniów” w krakowskich Rakowicach. Zatrudnieni w „Śnieżnicy” korzystają z dobrodziejstwa w postaci wielkich pudeł odpadów - uszkodzonych paczek „Klubowych” i „Popularnych”, tychże luzem, oraz półtorametrowych napełnionych nie pociętych tutek. Rozprowadza się to na wagę po niewygórowanej cenie. W imię międzyzakładowej współpracy „Solidarności”, przewodniczącej życzliwości z firmą i osobistych sympatii wzajemnych, co tydzień autobus „Śnieżnicy” przywozi pod szkołę, w której pracuję, kilkanaście kartonów cenionej trucizny trzeciego sortu dla nasycenia pragnących. I nawet stan wojenny nie zatrzymuje tego „Solidarnościowego” proceduru, ku radości ogólnej i przyzwoleniu zwierzchności; nawet sekretarz zakładowej PZPR stoi pokornie w kolejce, modląc się w duchu, by mu nie nasypać zbyt dużo filtrów od „Klubowych” luzem, które też wchodzi w skład wagi taryfowej. Bo po linii partyjnej jakoś załatwić nie potrafi. Ta partia już zresztą wtedy coraz bardziej bezżębna. Zdarzyło się, że ogłoszono, by po konferencji pedagogicznej pozostali w sali towarzysze członkowie, bo odbędzie się zebranie POP PZPR. Mówię więc do guzdrzącego się kolegi – Chodźmy już, Henryk, bo tu będzie zebranie komunistów!

Jezu, ale się porobiło! Nazajutrz przyszedł pierwszy sekretarz z wyrzutem bolesnym, jak ja go tak mogę! Przecież on to nawet do kościoła chodzi!

Szeregi aktywu coraz gęściej wypełniał towarzysz szmaciak.

Minęło ... Okazało się nawet, że z ręką bez zatlonego lontu też można coś zrobić.

Nie sądzę, bym miał nią kiedy znów po papieros sięgnąć.

Choć?

Czytałem gdzieś, że brat Albert Chmielowski w cierpieniu przed śmiercią poprosił znieca o papierosa. Opiekujące się nim zakonnice dostrzegły w tym dopełniający akt umartwienia. Bo wszystko zasługuje na jakąś ideę. Choćby pokrętną jak samo życie.

**Fotografia: Zbigniew Sułkowski**



## 80 lat temu.

**Dokładnie 8 października 2013 roku minęła 80. rocznica wmurowania tablicy upamiętniającej powstanie Pierwszej Oficerskiej Szkoły Strzeleckiej w Stróży. Szkoła Strzelecka w Stróży, została powołana w 1913 r. w celu szkolenia kadry oficerskiej dla przyszłych polskich formacji wojskowych. Siedzibą szkoły był dwór Ludwika Lazara w Stróży w powiecie limanowskim. Obecnie w budynku tym mieści się Szkoła Podstawowa. Zajęcia w Oficerskiej Szkole Strzeleckiej odbywały się od lipca do sierpnia 1913 roku. Jednym z inicjatorów szkolenia, a zarazem wykładowcą był Józef Piłsudski. Zajęcia prowadził również Kazimierz Sosnkowski. Uczestników szkolenia było 90, wśród nich późniejsi dowódcy Legionów oraz znane postacie II Rzeczypospolitej.**

Absolwenci kursu po dalszym przeszkoleniu wojskowo – propagandowym w Wyższej Szkole Oficerskiej ZWC (lub innej podobnej) i otrzymaniu stopnia oficerskiego, mieli prawo do noszenia „Parasola” – odznaki Zaprojektowanej przez





# Odsłonięcie tablicy Szkoły Strzeleckiej w Stróży



Włodzimierza Tetmajera w 1913 i zatwierdzonej przez Józefa Piłsudskiego. Odznakę tę w polskiej historii posiadało 67 osób. Sam Włodzimierz Tetmajer, który był działaczem konspiracyjnym Polskiej Organizacji Wojskowej odwiedził uczestników szkoły.

W roku 1933 w dwudziestą rocznicę powstania Pierwszej Oficerskiej Szkoły Strzeleckiej w Stróży odbyły się jubileuszowe uroczystości, o których pisała ówczesna prasa.

Czytelnikom „Echa” prezentuję szczegółowy opis tej wielkiej uroczystości, który ukazał się w „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym”, nr 281, z 10 października 1933 roku w artykule zatytułowanym: *Dwudziestolecie pierwszej szkoły oficerskiej*, w którym czytamy: *W niedzielę 8 października 1933 r. w Stróży – powiat limanowski odbyła się wzruszająca uroczystość 20-lecia pierwszej polskiej szkoły oficerskiej, a mianowicie szkoły instruktorów organizacji bojowej Związku Strzeleckiego, której pierwszy kurs odbył się w roku 1913.*

*Szkoła ta miała wśród swych wychowanków najwybitniejsze osobowości, zajmujące w armii polskiej pierwsze stanowiska. Komendantem szkoły był Marszałek Józef Piłsudski.*

*Uroczystość zgromadziła około 2000 osób miejscowej ludności oraz 40 byłych uczniów i instruktorów tej szkoły. Przybyli m.in.: gen. Mieczysław Ryś-Trojanowski, gen. Tadeusz Kasprzycki (późniejszy Minister Spraw Wojskowych w latach 1935-1939 – przyp. red.), gen. Józef Tokarzewski, gen. Stanisław Grzmot-Skotnicki, p. Kazimierz Oldakowski (dyrektor przedwojennej Fabryki Broni w Radomiu w latach 1926-1939 – przyp. red.),*

**Obok:** Odsłonięcie tablicy pamiątkowej na budynku dawnej szkoły instruktorskiej w Stróży, przy tablicy: dowódca Okręgu Korpusu V w Krakowie gen. Aleksander Narbutt-Luczyński.

gen. Aleksander Narbutt-Luczyński – dowódca Okręgu V Korpusu w Krakowie, płk Marian Bolesławicz i wielu oficerów niższego stopnia.

Po przybyciu gości i po uroczystym ich powitaniu, rozpoczęła się Msza św. polowa, w czasie której ks. dziekan Antoni Zapala, kapelan wojsk polskich, wygłosił płomienne kazanie, poświęcone misji dziejowej Marszałka Piłsudskiego (ks. A. Zapala przez pewien okres był kapelanem marszałka Edwarda Rydza – Śmigłego; późniejszy proboszcz parafii limanowskiej od 10 listopada 1946 do 17 stycznia 1947; zmarł nagle, jest pochowany w kaplicy Marsów na parafialnym cmentarzu w Limanowej – przyp. red.).

Po Mszy św. i po odśpiewaniu „Boże coś Polskę” odbył się wzruszający moment apelu. Byli uczniowie szkoły pod komendą gen. Tokarzewskiego ustawili się w jednym szeregu, po czym gen. Tokarzewski zameldował gen. Trojanowskiemu kompanię szkolną. Gen. Trojanowski odczytał apel i wtedy wszyscy zebrani usłyszeli, ilu uczniów z tej szkoły padło w obronie Ojczyzny.

Po apelu wstąpił na trybunę starosta powiatu limanowskiego Ludwik Malkowski, który imieniem pana wojewody krakowskiego powitał zebranych na uroczystości, wskazując na jej historyczne znaczenie. Następnie poprosił gen. Aleksandra Narbutt-Luczyńskiego, by dokonał odsłonięcia tablicy pamiątkowej wmurowanej w gmach ówczesnej szkoły instruktorskiej.

Gen. Luczyński dokonał odsłonięcia tablicy, wojsko prezentowało broń, orkiestra odegrała hymn państwowy i z moździerza oddano trzy strzały.

Na tablicy znajduje się orzeł strzelecki oraz napis następującej treści: **1913-1933. W tym domu mieściła się w lipcu 1913 roku Pierwsza Oficerska Szkoła Strzelecka pod komendą Marszałka Józefa Piłsudskiego. W dwudziątą rocznicę, uczestnikom tej szkoły na chwałę, przyszłym pokoleniom ku pamięci tablicę tę wmurowali Związek Strzelecki, Związek Legionistów, obywatele powiatu limanowskiego.**

Następnie na trybunę wstąpił mec. dr Józef Stankiewicz, który wygłosił doskonałe ujęte, płomienne przemówienie o znaczeniu uroczystości, witając wszystkich zgromadzonych. Po mowie mec. Stankiewicza, zakończonej okrzykiem na cześć Rzeczypospolitej, Prezydenta RP i Marszałka Piłsudskiego oraz gości, na trybunę wstąpił gen. Trojanowski. Gen. Troja-



Generalicja w towarzystwie Ludwika Malkowskiego - starosty limanowskiego przybywa na uroczystość.



Msza polowa przed dworem, w którym przed dwudziestu laty mieściła się pierwsza szkoła instruktorska Związku Strzeleckiego w Stróży. Mszę odprawia kapelan wojskowy ks. Antoni Zapala (późniejszy proboszcz limanowski).



nowski wygłosił niezwykle serdeczne przemówienie na cześć ludności pow. limanowskiego, która nie tylko dawniej zmanifestowała swe przywiązanie do idei zbrojnej odbudowy państwa polskiego, ale również w dniu uroczystości biorąc w niej tak liczny udział wykazała, że czuje się z ideą Marszałka Piłsudskiego związana.

Po przemówieniu gen. Trojanowskiego delegacje, wśród których wyróżniały się delegacje podhalańskie w niezwykle malowniczych strojach, składały wieńce pod tablicą pamiątkową.

Następnie wszyscy udali się celem odebrania defilady, którą poprzedziła orkiestra 1. pułku strzelców podhalańskich. Za orkiestrą postępował korpus oficerski pułków strzelców podhalańskich, dalej komitet obywatelski na czele z marszałkiem powiatu Zygmuntem Marsem oraz oddziały strzeleckie. Po odebraniu defilady wypuszczono około 200 gołębi pocztowych, które wiadomość o uroczystości rozniosły po całej Polsce.

Na tym zakończono oficjalną część uroczystości, po czym goście udali się na śniadanie, przygotowane niezwykle starannie przez komitet obywatelski oraz oddział miejscowy Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet pod przewodnictwem starościny Malkowskiej.

Po południu wszyscy byli uczniowie szkoły z generałami na czele udali się przy dźwiękach orkiestry na dawne pole ćwiczeń, gdzie odegrano szereg pieśni legionowych. Wieczorem uczestnicy uroczystości odjechali do swych miejscowości.

Zaznaczyć należy, że z okazji uroczystości zainstalowano w Stróży specjalny urząd telefoniczno-pocztowy, przy czym listy pochodzące stąd stemplowane są pieczęcią specjalnie na ten dzień wydaną.

Uroczystości strzeleckie w Stróży poprzedziła uroczystość w Krakowie, która rozpoczęła się nabożeństwem o godz. 10 w kościele garnizonowym św. Agnieszki odprawionym przez ks. dziekana Antoniego Zapalę. Po uroczystościach krakowskich udano się do Stróży.

Jakie są losy owej tablicy wmurowanej 8 października 1933 roku w tak doniosłej atmosferze uroczystości opisanej powyżej?

**Obok:** Przemówienie mec. Stankiewicza w imieniu Komitetu Obywatelskiego, który zawiązał się w powiecie limanowskim celem uczczenia 20-tej rocznicy szkoły instruktorskiej.

W Polsce Ludowej tablica znalazła się na liście pamiątek tępionych. Marmurową tablicę usunięto ze ściany, co więcej została ona zniszczona i rozbita na pięć części. Mieszkający przy szkole Czesław Nowak pozbiierał kawałki tablicy i ukrył je w swojej stodole. Potem przez pewien czas tablica przechowywana była u Franciszka Dudzika, który umieścił pięć zachowanych części w specjalnej ramie. Następnie tablica trafiła do środowisk niepodległościowych w Krakowie, pod opiekę miłośników historii skupionych w Towarzystwie im. Józefa Piłsudskiego. Stamtąd 5 listopada 1989 roku powróciła uroczystość do Stróży i ponownie została wmurowana w ścianę budynku szkoły, gdzie można ją oglądać do dziś.

13 października 2013 r. w Szkole Podstawowej w Stróży odbyła się uroczystość 100-lecia założenia Pierwszej

Oficerskiej Szkoły Strzeleckiej (1913) oraz 80-lecie wmurowania pamiątkowej tablicy (1933).

Uroczystość rozpoczęła Msza św. pod przewodnictwem Biskupa Tarnowskiego Andrzeja Jeża w koncelebrze sześciu kapłanów. Wzięli w niej udział przedstawiciele Sejmu RP, władze samorządu powiatu, gmin: Dobrej i Jodłownika, a także przedstawiciel urzędu wojewody małopolskiego oraz Kuratorium Oświaty delegatury w Nowym Sączu.

Zebranych licznie gościom, a przede wszystkim młodzieży przypomniano bogatą historię związaną z Pierwszą Oficerską Szkołą Strzelecką, którą zakładał sam Marszałek Józef Piłsudski.

**Sztafeta patriotyzmu pokoleń trwa.**  
**Materiały opracował:**  
**Stanisław Ociepka**  
**Fotografie: Klementyna Zubrzycka,**  
**arch. Leopolda Kucharczyka**



**Powyżej:** Pamiątkowa fotografia pod wmurowaną tablicą (1933 rok).

**Poniżej:** Zaproszeni goście, wśród których siedzi Zygmunt Mars - marszałek powiatu limanowskiego (w pierwszym rzędzie trzeci z lewej).





Kwiecień to miesiąc pamięci narodowej skłaniający do refleksji i zadumy. Dlatego Czytelnikom „Echa Limanowskiego” przybliżamy jedną z wielu tysięcy ludzkich tragedii związaną ze zbrodnią katyńską. Ofiarą tej zbrodni jest Włodzimierz Emil Kabarowski, limanowianin z urodzenia, nowosądeczanin z wyboru, postać znana z „Księgi limanowian”. Do dnia dzisiejszego wiele kwestii związanych ze zbrodnią katyńską nie zostało do końca wyjaśnionych. Nadal wielu naukowców i publicystów szuka źródeł i dokumentów, które pozwoliłyby choć częściowo wyjaśnić tajemnice tej okrutnej tragedii narodowej.

Jednym z nich jest Stanisław Maria Jankowski (p. biografia), potomek słynnego rodu Żuławskich - prawnuk Leona Hermenegildusa Żuławskiego, lekarza limanowskiego, autora książki: *Oblężenie Limanowej, czyli Rzeź Galicyjska 1846 wierszem*. Tak więc w miesiącu pamięci prezentujemy artykuł Stanisława Marii Jankowskiego profesjonalnie zajmującego się problematyką katyńską, zatytułowany: *Śmierć przychodzi przed ambasadorem*.

Stanisław Ocieпка

# Śmierć przychodzi przed ambasadorem

25 stycznia 1941 do ambasady USA w Moskwie wyrusza z Chicago list, sygnowany podpisem Brunona Hetmana.

„Ekscelencjo, jako obywatel amerykański, urodzony w Stanach Zjednoczonych, niżej podpisany, pozwalam sobie ambasadę Stanów Zjednoczonych uniżenie prosić, by w następującej sprawie zechciała mi przyjść z pomocą” – pisze B. Hetman. I przypomina, że „od chwili wybuchu wojny europejskiej i dokonania obsadzenia Polski, jeden z moich najbliższych krewnych internowany został przez rosyjskie władze wojskowe. Daremnie starałem się kilkakrotnie uzyskać jakkolwiek możliwość porozumienia się z nim, żaden bowiem z mych licznych listów nie przyniósł mi odpowiedzi. O ile mi wiadomo, krewny mój, były polski oficer, znajduje się jeszcze przy życiu i prawdopodobnie internowany jest w mieście Kozielsku w prowincji Smoleńsk, poczta 12, pod nazwiskiem por. Włodzimierz Kabarowski. Przeświadczony, że ambasada Stanów Zjednoczonych jest jedyną moją nadzieją i mogłaby mi w tem dopomóc, bym od Włodzimierza Kabarowskiego otrzymał jakąś odpowiedź, zwracam się do Waszej Ekscelencji z prośbą o następujące wyjaśnienia:

- Może by ambasada Stanów Zjednoczonych była łaskawa spowodować u władz wojskowych rosyjskich w dystrykcie Smoleńsk, aby mój krewny uzyskał zezwolenie na udzielenie mi odpowiedzi na moje listy:

- Czy jest to dozwolone, abym na drodze legalnej przekazał krewnemu mojemu pieniądze, które są mu potrzebne na najkonieczniejsze rzeczy?

- Czy jest możliwe uzyskanie jego zwolnienia, aby go przetransportować do Ameryki w liczbie obecnie wyznaczonych emigrantów. Zareczam, że przejmuję na siebie kosztą przejazdu, gwarancją konieczną oraz kosztą utrzymania. Bardzo byłbym zobowiązany za każde możliwe wyjaśnienie, ponieważ krewny mój jest fizycznie chory i potrzebuje natychmiastowej pomocy. Obojętne czy jest on żywy, czy też już umarł, chciałbym mieć wiadomość o tym, co się z nim dzieje. Jeżeli jeszcze żyje, to dlaczego rząd rosyjski zabrania mu odpowiedzieć na moje listy?...”

Hetman wspomina o różnych próbach, podjętych przez niego, aby „uzyskać coś na innych drogach, wszystko jednak było bezskuteczne. Udzielono mi wreszcie rady, abym się udał do ambasady Stanów Zjednoczonych w Moskwie, ponieważ jest to jedyna władza, która byłaby w stanie udzielić mi odpowiedzi...”

List kończy dramatyczny apel o nie bagatelizowanie przez ambasadora „tego tragicznego wypadku”. Podporucznik rezerwy Brunon Hetman ujawnia swój stopień wojskowy sił zbrojnych USA. I liczy, że ta informacja powinna

## Stanisław Maria Jankowski

zachęcić do zainteresowania się dalszymi losami jego prośby.

Żadnej szansy dla dyplomatów Autor nie może wiedzieć, że z jego listem nigdy nie zapozna się obecny w Moskwie od 1939 roku ambasador Laurence Adolpf Steinhardt ani żaden z jego urzędników.



Włodzimierz Emil Kabarowski (1913-1940).

Nie uwierzyłby również, gdyby mu powiedziano, że chociaż w roku 1940 czy 1941 Stany Zjednoczone nie prowadziły wojny z ZSRR, to podobne przesyłki - nawet po pomyślnym pokonaniu Atlantyku - nie miały żadnej szansy na pokonanie sowieckiej cenzury. A zamiast do amerykańskiej ambasady w Moskwie - najpewniej za pośrednictwem centrali NKWD w tym mieście - trafiły do UNKWD<sup>1</sup> w Smoleńsku. Być może inny byłby los listu Bru-



Waclaw Kruk. Fotografia wykonana ok. 1935 r. Arch. Stanisław M. Jankowski.



nona Hetmana, gdyby żyli oficerowie polscy, poszukiwani przez swoich krewnych z USA. Ale od wiosny 1940 nie mogli oni skutecznie starać się o zwolnienie z obozów jenieckich por. Fryderyka Politura, por. Stefana Józefowicza i ppor. Włodzimierza Emila Kabarowskiego urodzonego w Limanowej.

Przyszedł tutaj na świat 14 lutego 1913 r. W okresie międzywojennym mieszkał w Nowym Sączu przy ulicy Żeglarskiej 5, uczęszczał do gimnazjum im. Jana Długosza. Po maturze pracował w Sądzie w Nowym Sączu, a później został pracownikiem Sądu Grodzkiego w Jabłonkowie Cieszyńskim. Od pierwszego dnia szkolenia wojskowego związany z pułkami strzelców podhalańskich. Tutaj awansował od szeregowca do podporucznika (1935 rok), dowodził plutonami karabinów maszynowych, a nawet był adiutantem batalionu w 1 psp. 19 września 1939 roku w Tłumaczu trafił do niewoli sowieckiej, a w listopadzie - do Kozielska. O tym, jak wyglądały ostatnie godziny jego życia można dowiedzieć się z zachowanego do dzisiaj w kilku zbiorach archiwalnych odpisu pamiętnika autorstwa innego z oficerów.

## Plotki okazały się prawdą...

8.04.1940 r.

[...] W ostatnim czasie tj. z końcem marca i z początkiem kwietnia zaczęły się nowości w sprawie wyjazdu.

*Przypuszczaliśmy, że to zwykłe plotki. Jednak plotki te okazały się prawdą. W pierwszych dniach kwietnia rozpoczęło się formowanie transportów – tymi zdaniami zaczyna się jeden z kilkadziesiątu pamiętników, odnalezionych w czasie ekshumacji w lesie katyńskim w 1943 roku. Wykonany został przez właściciela dzięki zgięciu i zsyciu półarkuszy białego nie liniowanego papieru, bez znaków wodnych. Notatnik nie posiada okładek, a liczy 54 kartki. Zapisano tylko dwie początkowe. Reszta nosi jedynie ślady po ołówku chemicznym; włożony do środka rozpuścił się i przesycał część notatnika fioletową barwą. Podobnie znać ślady odbicia się figur rysowanych na innej kartce. Sądząc z treści notatnika są one szkicem figur szachowych, o których wykonaniu wspomina autor.*

*Ze „skitu”<sup>2</sup> przysłano do nas kilka osób – zaczyna się tekst na pierwszej z 54 kart - Wreszcie siódmego rozwiązano resztę „skitu” i przewieziono ją do głównego obozu w Kozielsku. Przejściowo pomieszczono nas w bloku majorów. Wczoraj odesłano transport wyższych oficerów: trzech generałów, 20 – 25 pułkowników i tyluż majorów. Ze sposobu ich załadowania wywnioskowałem z zadowoleniem, że obecnie przysłała kolej na mnie. Rano wykapałem się i wyprałem moje skarpetki oraz chusteczkę do nosa. Precz ze smutkiem (nieczytelne) Podano nas rewizji (nieczytelne). Zaprowadzono nas do aut i przewieziono do*

**Obok:** Autoportret Waclawa Kruka wykonany w Kozielsku w 1940 r. Znalezione przy jego zwłokach w maju 1943 r. Oryginał trafił do Krakowa do Zakładu Medycyny Sądowej i Kryminalistyki i został zniszczony w Radebaul w Niemczech w roku 1945, w czasie ewakuacji wraz z innymi aktami. Kopię zachowano w skrytce pod dachem Instytutu Medycyny Sądowej i znaleziono w kwietniu 1991 roku. Kopia w arch. Stanisława M. Jankowskiego.

*małej stacyjki (nieczytelne) do Kozielska. (Kozielsk odcięty przez powódź). Na stacji załadowano nas do wagonów więziennych pod ostrym konwojem. W celi więziennej, którą po raz pierwszy w ogóle widzę jest nas trzynastu. Jeszcze nie znam mych przygodnych towarzyszy niedoli. Teraz czekamy na odjazd. Jak przedtem byłem nastawiony optymistycznie tak teraz wnoszę (...), że ta podróż to wcale nic dobrego. Gorzej to, że (...) nie wiadomo, czy będziemy mogli zbadać, w jakim kierunku będziemy jechać. Czekaemy cierpliwie. Jedziemy w kierunku Smoleńska. Pogoda (...) słoneczna, na polach jeszcze dużo śniegu.*

## Minęliśmy Smoleńsk, dojeżdżamy do Gniazdowa...

*Wtorek. Noc spędziliśmy wygodniej niż w dawnych wagonach bydłowych. Było nieco więcej miejsca i nie trzęsło tak okropnie. Dziś pogoda (...) całkiem zimowa. Śnieg sypie, pochmurno. Na polach śniegu jak w styczniu. Nie można zorientować się, w którym jedziemy kierunku. Obawiam się, że jedziemy na północ lub płn. wschód, sądząc po pogodzie. Jest za dnia tak jak dawniej bywało.*

*Wczoraj rano dali porcję chleba i cukru, a w wagonie zimnej, przygotowanej wody. Teraz zbliża się południe, a nic nowego do jedzenia nie dają. Obejście się także (...) ordynarne. Na nic nie pozwalają. Wyjść do ustępu można wtedy, kiedy konwojentom podoba się, nie pomagają ani prośby ani krzyki. [...]*

*Moje prace rzeźbiarskie zjednały mi wielu entuzjastów. Byłem zmuszony zrobić dwie płaskorzeźby mjr. Gołąbowi (góral i Matka Boska), krzyż dla rotmistrza Deszerta, pudełko na tytoń (...) najwięcej jednak zachwyty budziły moje szachy. A byłem o nie w strachu, bo puszczono pogłoskę, że*

► przy rewizji zabierają wszystkie wyroby z drzewa. Na szczęście okazało się to tylko plotką. Nóż jednak zabrali. Jest godz. 14<sup>30</sup>. Zajeżdżamy do Smoleńska. Na razie stoimy na dworcu towarowym. Jest to podobnie jak przeważająca część dworców w młodrosyjskich miastach stacja olbrzym, tor dworca towarowego ciągnie się na przestrzeni kilku kilometrów. Jednak jesteśmy w Smoleńsku.

Jest wieczór, mineliśmy Smoleńsk, dojeżdżamy do stacji Gniazdowo. Wygląda tak, jakbyśmy mieli tu wysiadać, bo kręci się wielu wojskowych. W każdym razie dotychczas nie dali nam nic dosłownie do jedzenia. Od wczorajszego śniadania żyjemy porcją chleba i skromną dawką wody...

## „Pamiętnik urywa się tragicznie...”

Te zdania poznawałem na raty. Najpierw ze zbioru „Pamiętniki znalezione w Katyniu”, wydanego w Paryżu w 1990 roku. Później z kopii maszynopisu, wraz z tysiącem innych kart w dniu 20 kwietnia 1991 znalezionych w skrytce pod dachem Instytutu Ekspertyz Sądowych. I w trzecim podejściu – w Bibliotece Jagiellońskiej.

W maju 1991 na stolik w „Czytelnia Główniej” wjechała zszywka „Dziennika Radomskiego” z roku 1943, a dokładnie numer 109, datowany 11 maja 1943.

„Słowa, w których umocniło się przecucie śmierci” – wołał nadtytuł na pierwszej stronie numeru 109. „**Wieczorem przybyliśmy do Gniazdowa**” informowały mocno podkreślone litery tytułu. Niżej dokładano ocenę: Pamiętnik polskiego oficera urywa się tragicznie.

Tragicznie urywały się notatki nie rozpoznanego oficera, jeszcze w kwietniu wydobytego z dołu śmierci przez zatrudnionych przy ekshumacji Rosjan – mieszkańców tej części smoleńszczyzny. Do zwłok dołączono blaszkę z numerem 0424 oraz literami NN – i pochowano w tzw. bratniej mogile jednej z sześciu przygotowanych na terenie lasu katyńskiego. Do Krakowa pojechał notatnik z datami zapisków: liczono, że treść pomoże w ustaleniu autora. Pracownicy Oddziału Chemicznego Państwowego Instytutu Medycyny Sądowej i Kryminalistyki (wówczas noszącego nazwę: Staatliches

Institut für gerichtliche Medizin und Kriminalistik) dostali trzy tysiące kopert z rzeczami wyciągniętymi w czasie rewizji zwłok ponad 4000 oficerów, zgładzonych i ekshumowanych w Katyniu. Najłatwiej było sprawdzić czy podane w pamiętniku daty odpowiadają prawdzie. Już od połowy 1990 roku dysponowałem kopiami list wywózkowych i innych dokumentów, wydanych generałowi Wojciechowi Jaruzelskiemu podczas jego wizyty w Moskwie w kwietniu 1990. Były wśród innych nazwiska rozpoznanego w Instytucie autora notatnika – ppor. Waława Kruka oraz Włodzimierza Kabarowskiego i dwóch innych oficerów, o których odszukanie w 1941 roku proszono amerykańskiego ambasadora.

Na przekazanym z Moskwy do Koziełska zleceniu nr 029/2 Kruk Waława Stanisławowicz znajdował się pod numerem 73, a Kabarowski Włodzimierz Pawłowicz pod numerem 100. Może jechali w tym samym wagonie więziennym albo nawet przedziale, z kratami wychodzącymi na korytarz, na którym pełnili służbę żołnierze Wojsk Konwojowych NKWD.

## Czterdziestu co godzinę

Gdyby w wydawanych w okupowanej Polsce „gadzinówkach”: „Gońcu Krakowskim”, „Nowym Kurierze Warszawskim” czy „Dzienniku Radomskim” pod notatki ppor. Kruka wstawić nazwisko ppor. Kabarowskiego, to ich tekst byłby identyczny. Ostry konwój, utrudnianie wyjścia do ustępu, głód, pragnienie, niepewność dokąd jadać i co będzie tam, gdzie dojadą.

I przez kraty umieszczonego pod sufitem okienka, widząc napis „Gniazdowo” zamiast jeńca Kruka również jeńca Kabarowskiego mógłby napisać: „*wygląda na to jakbyśmy mieli tu wysiadać, bo kręci się wielu wojskowych...*”

Zachowały się pamiętniki z informacjami o jeszcze jednej rewizji w czasie wysiadania, o „*odbieraniu pasa głównego, rubli, zegarka*” oraz o odwożeniu „*czterdziestu co godzinę*”...

W dostarczonej z Katynia do krakowskiego Instytutu dokumentacji PCK z nazwiskami ponad 4000 oficerów, pochowanych w sześciu bratnich mogiłach nie było nazwiska Waława Kruka. Wspominany na wstępie notatnik nie miał nazwiska autora. Podczas ekshumacji do numeru 0424 dodano N,N oraz informację o rysunku ołówkowym mężczyzny

z brodą opisanym „Kruk Waława Koziełsk 1940”.

Nazwisko autora wyjaśniono po badaniach w Oddziale Chemicznym Państwowego Instytutu Medycyny Sądowej w Krakowie. Zdecydował identyczny podpis pod rysunkiem portretowym i karykaturą. Porównanie szkiców figur szachowych z notatek pozwoliło – jak napisano – „*na przypuszczenie, że wszystkie te rysunki wyszły spod tej samej ręki, czyli byłyby dziełem Kruka Waława.*” Do tego samego wniosku doprowadzi porównanie tekstu pisanych ręcznie notatek i podpisów na rysunku.

## Numer identyfikacyjny 03179

Takich badań porównawczych nie trzeba było prowadzić przy ustalaniu nazwiska ppor. Kabarowskiego. W kieszeni oficerskiego munduru znajdowała się karta szczepienia przeciwko tyfusowi oraz pocztówka adresowana do jeńca Włodzimierza Emila Kabarowskiego. Mimo braku jakiegoś dokumentu rewidujący ofiarę pracownicy PCK uznali, że zaświadczenie i odkrytka z tym samym nazwiskiem nie trafiłyby do kogoś innego. Przed przeniesieniem zwłok do tzw. bratniej mogiły w mundur - w dobrze widocznym miejscu - doczepiono blaszkę z numerem identyfikacyjnym. Taki numer pojawiał się na wszystkich złotych kopertach ze znalezionymi przy zwłokach dokumentami, notesami, korespondencją, przedmiotami osobistego użytku, książeczkami do nabożeństwa, medalikami, odznaczeniami i odznakami. Do wielu kopert dołączono jeden naramiennik. Ten sam numer wpisywano do sporządzanych w języku niemieckim i polskim sprawozdań z ekshumacji. Od maja 1943 nazwisko Kabarowski wszędzie łączone będzie z numerem 03179.

Warto uprzedzić pytanie, dlaczego do Gniazdowa w tym samym transporcie (może nawet przedziale) oficerowie dostali w czasie ekshumacji tak różne numery. Prawdopodobnie po zastrzeleniu wrzucono ich – bo oprawcy nie „chowali” ofiar – do dwóch różnych dołów śmierci, co oczywiście oznacza później inny czas ekshumacji. Numery do 1000 do sprawozdań wpisano przed początkiem maja, a powyżej 3000 w drugiej połowie maja 1943 roku.





Drugi z lewej stoi ppor. Jan Lassota, zamordowany w Charkowie, jeńiec obozu Starobielskiego.

Mogła dzielić zamordowanych godzinę egzekucji. Z jednego wagonu czy kilku przedziałów zabrano oficerów do autobusów i zawieziono nad dół (-y) śmierci przed zmrokiem? A pozostałych – dopiero rano. Albo w Gniazdowie podzielono: jedni ginęli w lesie, innych mordowano w piwnicach budynku NKWD nad brzegiem Dniepru?

W filmie „Katyń” Andrzej Wajda ujawnia różne miejsca egzekucji. „Pilot” ginie nad dołem, „Generał” – w piwnicy. Tego nie wymyślił scenarzysta ani reżyser, tak wyglądała śmierć w lesie katyńskim. Trudno było również w filmie dodawać informację o odłączaniu niektórych wagonów na stacji Smoleńsk, żeby z powodu przepełnienia bocznic kolejowej w Gniazdowie dokonać zbrodni w więzieniu wewnętrznym UNKWD. W Smoleńsku mordowali Polaków funkcjonariusze miejscowego wydziału komendanckiego.<sup>3</sup>

W lesie katyńskim również nie pracowano systematycznie. Niemcom – ze względów propagandowych – zależało na demonstrowaniu przybywającym do Katynia wycieczkom większej ilości ekshumowanych. Kierujący Komisją Techniczną PCK dr Marian Wodziński wspomni w sprawozdaniu o zalegającej w lesie dużej ilości nie pochowanych zwłok i nie wydobywaniu innych z dołów śmierci...

## Listy w „Gońcu Krakowskim”

Czas wrócić do Biblioteki Jagiellońskiej, bo tutaj znalazłem pierwsze informacje o trzech oficerach z Katynia. Nie wiedziałbym o poszukiwaniach, podjętych

aż w Ameryce, gdyby nie pierwsza strona 134 numeru „Gońca Krakowskiego” z 10 czerwca 1943. Tutaj można przeczytać artykuł o odnalezionym w Smoleńsku archiwum NKWD. Wśród innych dokumentów znajdowały się tam wysłane ze Stanów Zjednoczonych listy do ambasadora Steinhardta. O losie oficerów Wojska Polskiego: Fryderyka Politura, Stefana Józefowicza i Włodzimierza Kabarowskiego bezskutecznie próbowali dowiedzieć się ich krewni zza oceanu.

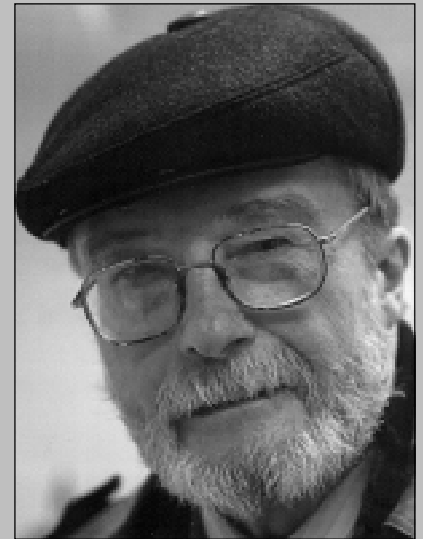
„Przesyłki pocztowe skierowane do ambasady Stanów Zjednoczonych i prawdopodobnie także do wszelkich innych przedstawicielstw dyplomatycznych podlegały przed doręczeniem badaniom i cenzurze sowieckiej. Jeżeli się w nich coś Sowietom nie spodobało, natenczas listów tych nie doręczano – informował „Goniec” 10 czerwca 1943. W tym samym artykule przeczytać można było listy do ambasadora, ale w tłumaczeniu kogoś, kto – być może – porozumiewał się po angielsku, ale z całą pewnością źle pisał po polsku.

**Stanisław M. Jankowski**

<sup>1</sup> UNKWD – Zarząd Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych.

<sup>2</sup> skit – tak nazywano część koziełskiego obozu ze znajdującymi się tam niewielkimi domami mnichów- pustelników i noclegowniami dla pielgrzymów. Zgrupowano w skicie oficerów, urodzonych na terenach po 17 września 1939 włączonych do ZSRR.

<sup>3</sup> Wydział komendancki - funkcjonariusze tego wydziału wykonywali wyroki śmierci.



**Stanisław Maria Jankowski** (ur. 1945) jest historykiem, publicystą i pisarzem, absolwentem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Był dziennikarzem m. in. w takich czasopismach jak: „Dziennik Polski”, „Gazeta Krakowska”, „itd.”, i „Życie Literackie” oraz wieloletnim redaktorem „Biuletynu Katyńskiego”. Jest także autorem słuchowisk radiowych i scenariuszy do filmów dokumentalnych dla TVN Historia. Twórca wielu wystaw historyczno – dokumentalnych, ekspozycyjnych za granicą. Przez lata związany był również z Główną Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, Niezależnym Komitetem Historycznym Badania Zbrodni Katyńskiej i Instytutem Katyńskim. Był konsultantem historycznym filmu „Katyń” w reżyserii Andrzeja Wajdy. Za wybitne zasługi w upowszechnieniu prawdy o zbrodni katyńskiej został odznaczony przez prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski (2011). Jest autorem około dwudziestu książek poświęconych m. in. Armii Krajowej i zbrodni katyńskiej. Ostatnia wydana pozycja (2012 r.) to: „Dziewczęta w maciejówkach”. Autor w książce tej przedstawia niemal zupełnie nieznaną działalność kobiet w konspiracji przed I wojną światową i w czasach późniejszych. Za tę pozycję został uhonorowany w Śródmiejskim Ośrodku Kultury w Krakowie.

# Należał do ludzi wybitnych - 70. rocznica śmierci Józefa Becka

O Józefie Becku, ministrze spraw zagranicznych II Rzeczypospolitej napisano niezliczoną ilość artykułów oceniających Jego politykę zagraniczną, jak również opisujących tę niezwykłą postać. Ale, jak twierdził historyk prof. Jerzy Gołębiowski, Józef Beck do dnia dzisiejszego nie doczekał się monografii o zabarwieniu naukowym.

Wielokrotnie także na łamach „Echa Limanowskiego” publikowaliśmy artykuły związane zarówno z rodziną Beków, jak również pisaliśmy o samym ministrze Becku (w gimnazjum powrócił do tradycyjnej formy nazwiska rodowego – Beck).

Obszerny artykuł prof. Tomasza Jana Biedronia (limanowianina) zatytułowany: *Józef Beck – żołnierz – polityk - dyplomata*, ukazał się w „Echu” w styczniu 2010 r. (nr 184 – 185, styczeń – luty). W bogatym artykule prof. Biedroń zdaje relację z sesji naukowej, która została zorganizowana 4 listopada 2009 r. przez Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie, Urząd Marszałkowski Województwa Małopolskiego i starostwo limanowskie.

W tym roku przypada 70. rocznica śmierci ministra Józefa Becka, zmarł 5 czerwca 1944 r. w Stanesti (wieś w Rumunii w okręgu Giurgiu), dlatego Czytelnikom „Echa” przypominamy, jakie związki łączyły Go z Limanową oraz dokonujemy reprintu krótkiej informacji z prasy konspiracyjnej - nielegalnego czasopisma „Głos Pracy”, którego założycielem był Polski Związek Wolności (PZW), polsko-wojskowo-polityczna organizacja konspiracyjna, działająca na obszarze większości ziem Polski.

W numerze 24. tego pisma z 15 czerwca 1944 r. ukazał się artykuł zatytułowany: *Śp. pułk. Józef Beck*. Ten krótki rys pamięci opublikowany zaledwie 10 dni po Jego śmierci, którego treść poniżej publikujemy (po 70 latach), zapewne niejednemu Czytelnikowi wzbogaci posiadaną historyczną wiedzę o tej nietuzinkowej postaci.



Józef Beck w młodości.



Pułkownik Józef Beck z Marszałkiem Józefem Piłsudskim.



Józef Beck, minister spraw zagranicznych II RP.

## Młodość i limanowskie środowisko rodzinne Józefa Becka

Urodził się 4 października 1894 roku w Warszawie jako syn Bronisławy z domu Łuczowskich i Józefa Beków. Ochrzczo-ny został 20 listopada 1896 roku w cerkwi prawosławnej w Warszawie.

W niedługim czasie rodzina Beków opuszcza Warszawę i wyjeżdża do Rygi. Następnie nie chcąc, aby władze carskie zmusiły rodzinę do przyjęcia prawosławia opuszczają Rygę i przybywają do Galicji. Osiedlają się najpierw we Lwowie, następnie w Limanowej (1899 r.), gdzie Józef Bek – senior uzyskał protektora w osobie ówczesnego marszałka powiatu Zygmunta Marsa i podejmuje pracę na stanowisku sekretarza Rady Powiatowej w Limanowej.

Od Marsów kupuje 2 morgi pola wzdłuż ul. Krakowskiej, gdzie buduje dom (1900 – 1901) tzw. „Bekówkę”. Przez 19 lat pobytu w Limanowej wykazał się wielkim zaangażowaniem w działalność społecznikowską.

Po przybyciu do Limanowej syn Józef (późniejszy minister) zostaje ochrzczony, jest to równoczesne z przyjęciem chłopca na łono Kościoła rzymskokatolickiego. W księdze chrztów w limanowskiej parafii rzymskokatolickiej widnieje wpis chrztu Józefa Becka z czerwca 1900 roku. W tej właśnie księdze można znaleźć adnotację: *Chłopiec ten urodził się w Warszawie. Choć rodzice dziecka urodzeni i wychowani byli w prawowitej wierze rzymskokatolickiej, wobec takiego stanu rzeczy, że prababka dziecka w linii bocznej w wierze greckokatolickiej (to jest unickiej) urodziła się – chcąc nie chcąc pod przymusem bezbożnych praw Cesarstwa Rosyjskiego – zmuszeni byli potomstwo swoje we wschodniogreckiej schizmie ochrzcić i wychować. Żeby zaś zbawienia duszy ich samych i potomstwa na szkodę nie narazić zmuszeni byli przez religijne prześladowania emigrować do zaboru austriackiego (...) Kazimierz Łazarzski proboszcz kościoła limanowskiego.*

Tak więc młody Józef spędził dzieciństwo i młodość w Limanowej. W domu rodzinnym młody Beck wychowywany był w atmosferze patriotycznej i społecznikowskiej – ojciec utrzymywał szerokie kontakty towarzyskie. W 1913 roku odwiedził ich dom Józef Piłsudski, w związku z kursami



Minister spraw zagranicznych Józef Beck w towarzystwie żony Jadwigi w warszawskim mieszkaniu - 1938 r.

Oficerskimi Związku Strzeleckiego w pobliskiej miejscowości Stróża. Było to pierwsze spotkanie Józefa Becka (późniejszego ministra spraw zagranicznych II RP).

Józef Beck naukę w zakresie podstawowym pobierał w domu w Limanowej, a później w V Liceum w Krakowie, gdzie w 1912 roku zdał maturę. Wprawdzie do domu rodzinnego już nigdy na stałe nie wrócił, ale często przyjeżdżał do Limanowej. Studiował we Lwowie i Wiedniu. W 1914 roku przybył z Wiednia do Limanowej i został instruktorem Drużyn Strzeleckich. Właśnie z Limanowej wyruszył do Legionów w Krakowie 20-letni student Józef Beck.

Z Limanowej rodzina Beków wyjechała w 1918 roku do Warszawy, bowiem Bek – senior otrzymał pracę w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych na stanowisku podsekretarza stanu w rządach kolejno Ignacego Paderewskiego a następnie Leopolda Skulskiego.

Miasto Limanowa nie zapomniało o związkach z rodziną Beków, a także o ministrze Józefie Becku.

W roku 1933 ulicę Krakowską (od mostu na potoku Mordarka do Sowlin) nazwano Alejami Becka. Zaś Rada Miasta przyznała ministrowi Józefowi Beckowi tytuł „Honorowy Obywatel Miasta Limanowa”. W protokole uchwały czytamy: *Rada miasta Limanowej na uroczystym posiedzeniu w dniu 31 marca 1936 r. odbyłym,*

*uchwaliła jednogłośnie nadać obywatelstwo honorowe Jaśnie Wielmożnemu Panu Józefowi Beckowi Ministrowi Spraw Zagranicznych RP, w uznaniu Jego zasług wobec naszego Państwa; w niemniejszej mierze chce ona dać wyraz swej wdzięczności za okazywaną zawsze naszemu miastu przez Pana Ministra życzliwość i troskę o jego losy, co zwłaszcza okazało się w czasie niedawnej klęski powodzi, jaka w sposób dotkliwy nawiedziła nasze miasto, a któremu Pan Minister pierwszy pospieszył z wydatną pomocą materialną – Magistrat miasta Limanowa – Sekretarz Michał Korolko – Burmistrz Tomasz Bieda.*

Wyróżnienie w formie dyplomu który wykonała firma „Jahody” w Krakowie został przez delegację miasta wręczony Józefowi Beckowi uroczystie w Warszawie.

Józef Beck 3 listopada zostaje mianowany przez marszałka Piłsudskiego ministrem spraw zagranicznych II Rzeczypospolitej. Jest on jednym z najbardziej zaufanych współpracowników marszałka. Wybrany przez Komendanta realizuje koncepcję jego polityki zagranicznej niepodległej Polski.

Po wybuchu II wojny światowej, 5 września Beck opuścił Warszawę, udając się do Brześcia nad Bugiem. Ostatecznie wraz z żoną i pasierbicą przybył do Rumunii, gdzie został internowany. ▶



► W ostatniej fazie internowania zostaje przeniesiony do wioski Stănesti, gdzie zostaje osadzony w nieużytkowanym budynku dwuizbowej szkoły. Tam w upokarzających warunkach zmarł 5 czerwca 1944 roku. Został pochowany na cmentarzu w Bukareszcie, o czym informował nekrolog o treści: *Za Spokój Duszy – Śp. Józefa Becka – Ministra Spraw Zagranicznych – Rzeczypospolitej Polskiej-zmarłego 5 czerwca po przeszło czteroletniej niewoli w Bukareszcie w wieku lat 49, odbędzie się w sobotę dnia 1 lipca 1944 r.- Msza Żałobna – o godzinie 11 rano.*

## Śp. pułk. Józef Beck – reprint

Radio rumuńskie doniosło o śmierci pułkownika Józefa Becka, spowodowanej długotrwałą chorobą gruźlicy.

Śp. pułk. Józef Beck, jeden z najzdolniejszych współpracowników marszałka Piłsudskiego, oficer Legionów, kawaler „Virtuti Militari”, zajmował kolejno szereg odpowiedzialnych stanowisk państwowych. Należał do rzędu ludzi wybitnych. Jako minister spraw zagranicznych kontynuował politykę wytyczoną przez Piłsudskiego. Jedną z naczelnych zasad tej polityki było utrzymanie dobrych stosunków z państwami sąsiedzkimi, a przede wszystkim z ZSRR i Rzeszą Niemiecką. Drugą zasadą było lojalne przestrzeganie aliantów z Francją i Rumunią. Trzecią – przeciwstawienie się wszelkiej decyzji powziętej w sprawie Polski bez jej udziału. Na tle tych zasad polityki zagranicznej wynikała stałość tendencji do uchylania się Polski od wciągnięcia jej w orbitę różnych planów agresywnych, skierowanych przeciw jednemu lub drugiemu z naszych sąsiadów.

W kompleksie zmańczonych stosunków wewnętrznych i nie mniej zagnatwanych stosunków międzynarodowych minister Beck nie miał sprzyjających warunków do rozwinięcia w pełni zasad polskiej polityki zagranicznej. Nie mógł również uniknąć błędów. Jednak w całokształcie swej pracy państwowej wykazał cechy męża stanu o skali europejskiej. Świadczy o tym choćby fakt doprowadzenia w przededniu konfliktu światowego do aliansu polsko – brytyjskiego.

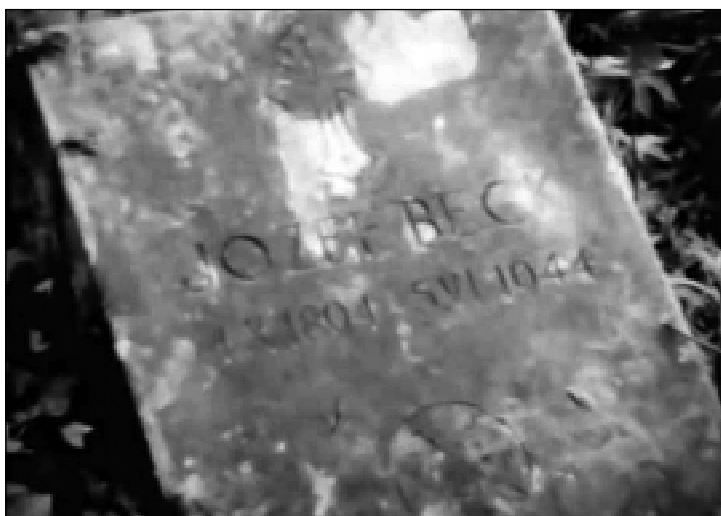
Internowany wraz z większością członków rządu Składkowskiego na terenie Rumunii minister Beck nie odzyskał, jak inni wolności. Jako wybitna jednostka min. Beck miał zbyt wielu wrogów tak na terenie międzynarodowym, jak i wśród rodzimych polityków. Zaopiekowano się nim gorliwie i uniemożliwiono pomoc w ucieczce, przygotowaną przez brytyjskie poselstwo w Bukareszcie. Dalszą opieką zajęło się Gestapo. Pułkownik Beck zmarł 5 czerwca 1944 r. pod Bukaresztem w warunkach, w których ginie tysiące Polaków pod okupacją. Zabrał ze sobą wiele cennych wiadomości, których ujawnienie po wojnie byłoby wskazane. Zginął w niewoli, pozostając na służbie dla Polski.

**Fotografie:**  
Narodowe Archiwum Cyfrowe,  
Kadry z filmu „O moim Ojcu. Józef Beck”,  
ze zbiorów p. Krystyny Gawlikowskiej-Mars

Wyrażam Podziękowanie p. Zygmunta Kłosowskiemu za przekazanie oryginalnego egzemplarza „Głosu pracy” z 15 czerwca 1944 roku.



Budynek dwuizbowej szkoły we wsi Stănesti, w którym zmarł Józef Beck.



Płyta nagrobna Józefa Becka na cmentarzu prawosławnym w Bukareszcie w części wojskowej. U góry pierwotny jej wygląd. Na dole, po wykonaniu nagrobka przez syna Andrzeja.



Poniżej: Grób Józefa Becka na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie - po ekshumacji jego prochów w 1991 roku.



# Limanovia-Szubryt przed wielką szansą

Stanisław Ociepka



Zespół „Limanovia-Szubryt”. **Pierwszy rząd o lewej:** Damian Majcher - pomocnik, Paweł Pyciak - pomocnik, Dawid Basta - pomocnik, Arkadiusz Serafin - pomocnik, Łukasz Pietras - pomocnik, Michał Ruchałowski - obrońca, Sylwester Tokarz - napastnik. **Środkowy rząd od lewej:** Dariusz Siekliński - Trener, Mateusz Niechciał - obrońca, Wojciech Dziadzio - napastnik, Daniel Bomba - bramkarz, Hubert Bieda - bramkarz, Waldemar Sotnicki - bramkarz (trener bramkarzy), Jacek Pietrzak - napastnik, Bartłomiej Hudecki - obrońca, Radosław Kulewicz - obrońca, Marian Wrona - kierownik drużyny. **Trzeci rząd od lewej:** Rafał Komorek - pomocnik, Jakub Downar-Zapolski - pomocnik, Artur Skiba - pomocnik, Grzegorz Kmieciak - napastnik, Arkadiusz Garzel - obrońca, Paweł Czajka - obrońca (asystent trenera), Mouhamadou Sadio - pomocnik. Na zdjęciu brak napastnika - Mariusza Mężyka.

Jesienna runda rozgrywek w piłce nożnej w II lidze grupy wschodniej dla limanowskiej drużyny „Limanovia – Szubryt” zakończyła się bardzo pomyślnie. Drużyna zajęła szóstą pozycję z 27 punktami i stosunkiem bramek (18:21).

Spośród osiemnastu meczy drużyna siedmiokrotnie zwyciężyła (u siebie 4 mecze, na wyjeździe 3 mecze), było sześć remisów (u siebie 3 i na wyjeździe 3), pięć porażek - wszystkie na wyjeździe (jedna walkowerem ze względów proceduralnych ze „Stalą” Stalowa Wola). Pozostałe cztery porażki to przegrane z: „Pogonią” Siedlce (3:0), „Siarką” Tarnobrzeg (3:0), „Pelikanem” Łowicz (1:0) i „Radomiakiem” Radom (3:0).

Zbliża się wiosenna runda rozgrywek. Aby limanowska drużyna w przyszłości mogła grać w nowo zreformowanej II lidze jedynej w kraju, musi zająć co najmniej 8 pozycję w grupie. To plan minimum, jaki przed drużyną postawił Zarząd klubu „Limanovii – Szubryt”.

Rozgrywki według terminarza rozpocząć się mają 9 marca. Klub gościł będzie „Garbarnię” Kraków, z którą w jesiennej rundzie wygrał w Krakowie (3:0).

Kolejne mecze rozegrane w Limanowiej to: „Wigry” Suwałki - 16 marca, „Siarka” Tarnobrzeg - 23 marca, „Pogoń” Siedlce - 30 marca, tak więc wszystkie niedziele w miesiącu marcu limanowskim kibicom dostarczą niebywałych emocji – oby pozytywnych.

Pozostałe mecze w Limanowej: „Stal” Rzeszów – 13 kwietnia, „Radomiak” Radom – 23 kwietnia, „Pelikan” Łowicz – 27 kwietnia, „Wisła” Płock – 11 maja, „Olimpia” Elbląg – 21 maja (środa), „Legionovia” Legionowo – 1 czerwca. Zakończenie rozgrywek nastąpi 8 czerwca na wyjeździe meczem z „Olimpią” Zambrów.

Jak klub przygotowuje się do rundy wiosennej?

Oprócz realizacji zaplanowanego programu treningowego: wyjazdowy obóz, sparingowe kontrolne mecze (osiem spotkań), wzmocnienie składu drużyny o nowych zawodników.

Są to: **Grzegorz Kmieciak** – napastnik (29 lat), wychowanek „Wisły” Kraków, ostatni klub „Janina” Libiąż; **Daniel** ▶

# Wystawa fotografii , Jubileusz 90-lecia

**Jubileusz 90-lecia Zespołu Szkół Technicznych i Ogólnokształcących im. Jana Pawła II w Limanowej jest okazją do ukazania długoletniej działalności i przedstawienia wielu wspomnień z lat szkolnych, które udało się udokumentować na fotografii.**

Dzięki staraniom Franciszka Lubojemskiego w 1924 roku rozpoczęła działalność Szkoła Zawodowa Doksztalająca, pierwsza tego typu szkoła w mieście, korzystająca z bazy i kadry nauczycielskiej limanowskiej Szkoły Powszechnej. Z powodu braku własnego budynku nauka odbywała się w godzinach popołudniowych. Taki był początek bogatej drogi „Mechanika”.

Wraz z upływem czasu szkoła przeszła wiele przemian. Zmieniały się nazwy, budynki, sposób kształcenia. Zmieniały się warunki historyczne, potrzeby, ludzie, obyczaje. Szkoła funkcjonuje (z przerwą spowodowaną II wojną światową) już prawie 90 lat.

17 lutego 2014 roku o godz. 11<sup>00</sup> w Galerii Miejskiej Biblioteki Publicznej w Limanowej, została otwarta wystawa fotografii „Mechanik” dawniej i dziś – ukazująca historię szkoły. Przygotowanie wystawy było trudnym zadaniem ze względu na liczbę lat i wydarzeń, jakie warto byłoby przedstawić a także ilość osób związanych przez te lata ze szkołą. To raczej próba ukazania historii szkoły, atmosfery lat i przywołania różnych wspomnień, głównie poprzez dokumentację fotograficzną.

Długoletnia działalność szkoły została podzielona na kilka etapów. Pierwszą część to lata 1924–1945. W roku 1925 kierownictwo szkoły objął Władysław Oleś, zastępując Franciszka Lubojemskiego. Drugi przedstawiony etap dotyczy lat 1945–1966. W 1951 r. następuje wprowadzenie szkoły do uzyskanego wcześniej budynku przy ul. Rzecznej (obecnie Kilińskiego). Od września 1954 r. funkcję dyrektora pełni Jerzy Kozieł a od lutego



Portret Tadeusza Ociepki - twórcy nowego obiektu szkolnego „Mechanika”. „Spotkanie” po 36 latach z córką Małgorzatą Palińską podczas otwarcia wystawy fotografii: „Mechanik” wczoraj i dziś - rozpoczynającej obchody jubileuszowe 90-lecia szkoły. Fot. S. Ociepka.

1955 r. dyrektorem zostaje Tadeusz Ociepka. Kolejną część wystawy dotyczy lat 1967–1988. Ważnym wydarzeniem jest budowa nowego obiektu szkolnego w latach 1964–1966. W roku 1974 dyrektor Tadeusz Ociepka przygotowuje uroczysty jubileusz 50-lecia. Szkoła otrzymuje Medal Komisji Edukacji Narodowej. Po śmierci Tadeusza Ociepki, na początku roku 1978 dyrektorem Zespołu Szkół Mechaniczno-Elektrycznych zostaje Artur Struzik. Lata 1989–2003 upamiętnione zostały w kolejnej części wystawy. W 1984 roku odbyły się uroczystości 60-lecia. W szkole wmurowano pamiątkową tablicę ku czci Tadeusza Ociepki. Od września 1990 r. obowiązki dyrektora szkoły przejmuje Jan Galas, następnie od roku 2002, Zbigniew Oleksy. Ostatni upamiętniony etap to lata 2003–2014. 1 września 2003 roku następuje zmiana nazwy szkoły na Zespół Szkół Technicznych i Ogól-

► **Bomba** – bramkarz (25 lat), wychowanek klubu „Victoria” Witowice Dolne, ostatni klub „Sandecja” Nowy Sącz; **Mateusz Niechcial** – obrońca (25 lat), wychowanek klubu „Wieczysta” Kraków, przyszedł z „Okocimski” Brzesko; **Jacek Pietrzak** – napastnik (25 lat), wychowanek klubu „Jarmura” Szczawnica i z tego klubu został pozyskany, grał w Limanovii – Szubryt w sezonie 2011/2012; **Marcin Byszewski** - pomocnik (20 lat) wychowanek „Dąbrowii” Dąbrowa Tarnowska, ostatni klub „Radomiak” Radom; **Jakub Downar Zapolski** – pomocnik (19 lat) wychowanek „Wisły” Kraków, półroczne wypożyczenie.

Z klubu odeszli: *Paweł Kepa, Mateusz Orzechowski, Karamo Sane, Bartłomiej Pająk, Radosław Kuligowski, Wojciech Mastalerz.*

Należy dodać, iż w klubie obecnie prowadzone są także drużyny młodzieżowe. „Orliki” - zajmują po rozgrywkach jesiennych drugie miejsce, trenerem jest Zbigniew Twaróg, „Młodziki”, dwie drużyny - pierwsza zajmuje pierwsze miejsce w pierwszej lidze limanowskiej, druga zajmuje drugie miejsce w drugiej lidze limanowskiej; trenerem również jest Zbigniew Twaróg. Trampkarzy prowadzi Bogusław Bieda i zajmują czwarte miejsce w lidze limanowskiej. Są także dwie grupy juniorów: juniorzy młodszy prowadzeni przez Tomasza Sebastjańskiego, zajmują szóste miejsce w lidze nowosądeckiej, a juniorzy starsi, których prowadzi Mirosław Smoleń mają szansę na awans do Ligi Wydzielonej, aktualnie zajmują pierwsze miejsce w lidze limanowskiej.

Z tej krótkiej informacji widzimy, że klub „Limanovia” prowadzi sześć drużyn młodzieżowych, które zapewne dają możliwości rozwoju tego rodzaju dyscypliny sportowej dla limanowskiej młodzieży i zapewne stanowią przyszłe zaplecze dla pierwszej drużyny.

*Redakcja „Echa” życzy, aby drużyna „Limanovia-Szubryt” zrealizowała plan minimum i w jesiennej rundzie mogła grać w nowo zreformowanej II lidze, jedynej w kraju.*

**Fotografie:  
Franciszek Natanek**



# „Mechanik” wczoraj i dziś

nokształcących, którego patronem zostaje Jan Paweł II. Uroczystości 80-lecia podkreślają znaczenie zmian wprowadzonych na początku roku szkolnego. Od września 2007 roku dyrektorem szkoły jest Grażyna Szumilas.

Na otwarcie wystawy przybyło wiele osób, starosta limanowski Jan Puchała, burmistrz miasta Władysław Bieda (jednocześnie absolwent i nauczyciel tej szkoły), wójt gminy Limanowa Władysław Pazdan, przedstawiciele zarządu powiatu limanowskiego, samorządowcy, dyrektorzy placówek oświatowych, byli i obecni nauczyciele, absolwenci, uczniowie. Dyrektorka Grażyna Szumilas wszystkich serdecznie powitała i podziękowała za przybycie. Szczególne podziękowania skierowała do Małgorzaty Palińskiej, córki dyrektora Tadeusza Ociepki.

Starosta limanowski Jan Puchała podziękował dyrektorkę Grażynę Szumilas za zorganizowanie wystawy. Zwrócił uwagę na ważność wspomnień: „nie zapominajmy o tych, którzy przez lata tworzyli tę szkołę”. Zapowiedział spotkanie w październiku, kiedy – jak się wyraził – odbędzie się „jubileusz szkoły”. Jan Puchała – starosta limanowski objął honorowym patronatem cały rok jubileuszowy.

Wprowadzenie i komentarz do wystawy przedstawił nauczyciel historii Jerzy Jurkowski. Zwrócił uwagę na trudny wybór, przed którym stanęły osoby przygotowujące wystawę. Ostatecznie postanowiono skupić się głównie na fotografii i podkreśleniu roli dyrektora Tadeusza Ociepki. Wykorzystano to, co dyrektor zgromadził i przygotował na 50-lecie szkoły oraz skorzystano z pomysłów i pomocy Jego córki Małgorzaty Palińskiej.

Dyrektorka Grażyna Szumilas przypomniała słowa p. Małgorzaty: „do dzisiaj czuję zazdrość – ta szkoła to była druga córka mojego ojca”. O zaangażowaniu Tadeusza Ociepki świadczą dokumenty dotyczące likwidacji szkoły i jej ponownego powołania po interwencji dyrektora. Dokumenty te pochodzą z marca i maja 1956 r., kiedy to szkoła znalazła się w dramatycznej sytuacji. Starania Tadeusza Ociepki doprowadziły również do budowy nowego obiektu szkolnego. W 1958 roku powołano społeczny komitet budowy a w 1996 r. można było zająć się zagospodarowaniem nowego budynku, o co również szczególnie dbał dyrektor.

(ciąg dalszy na stronie 43)

Ekspozycje wystawy „Mechanik” wczoraj i dziś.



# Przyjazne niebo nad Polankami Szczawskimi - historia ostatniego zrzutu alianckiego

Słoneczny dzień grudniowy. Na zrzutowisku „Wilga 311”, usytuowanym na Polankach Szczawskich, pojawiają się postacie partyzantów. W oczekiwaniu na przyłot samolotów ustawiają się w szyku, tworząc na śniegu literę K- umowny kod wywołania dla pilotów, stosowany przez przyjmujących zrzut. W oddali widać porzucone zasobniki i spadochron. Po chwili rozlega się warkot silników i nad zrzutowisko nadlatują cztery samoloty...

Opisana inscenizacja, upamiętniająca ostatni zrzut aliancki nad Polską, odbyła się 28 grudnia 2013 roku. Minęło wówczas 69 lat od wydarzeń nocy z 28/29 grudnia 1944 roku, gdy miał miejsce ostatni lot nad Szczawą- ostatnia misja majora pil. Antoniego Tomiczka, legendarnego pilota RAF-u z 1586 Eskadry Do Zadań Specjalnych.

## Grudzień 2013

Pomysł inscenizacji ostatniego zrzutu, a równocześnie upamiętnienia wszystkich pilotów i żołnierzy walczących o wyzwolenie spod okupacji powstał w Krakowskim Oddziale Stowarzyszenia Seniorów Lotnictwa Wojskowego. O pomoc w realizacji projektu zwrócono się do Muzeum Armii Krajowej w Krakowie, którego pracownicy współpracują z członkami Stowarzyszenia Rekonstrukcji Historycznych 1 PSP AK ( o działalności grupy, wywodzącej się z Limanowej, pisaliśmy w wakacyjnym numerze „Echa”).

W inscenizacji uczestniczyło ok. 30 rekonstruktorów ze wspomnianej już 1 PSP AK oraz zaprzyjaźnionych GRH „Ogniówcy” i GRH „Błyskawica”. Aby dokładniej przybliżyć realia zrzutu, na Polankach Szczawskich zostały umieszczone wojskowe zasobniki oraz spadochron, dostarczone przez p. Andrzeja Woźniczkę ze Skawiny. Kulminacyjnym momentem, na który oczekiwali rekonstruktorzy oraz zaproszeni goście i mieszkańcy był widowiskowy lot, przygotowany przez członków Stowarzyszenia Lotnictwa Eksperymentalnego. W szyku pojawiły się cztery maszyny: replika RWD-5R pilotowana przez Grzegorza Małkiewicza, dwa samoloty Remos G3, pilotowane przez limanowianina kpt. Ryszarda Jaworza-Dutkę oraz Józefa Wójtowicza, a także Tulak, prowadzony przez Jerzego Kołodzieję. Samoloty kilkakrotnie zatoczyły koło nad zrzutowiskiem,



budząc entuzjazm oglądających. Nastąpił też symboliczny zrzut - z Tulaka posyłały się słodycze. Po „odbiorze zrzutu” rekonstruktorzy umieścili wspomniane już zasobniki na saniach, aby przewieźć je do obozu.

Spotkanie zakończyła wystawa w drewnianym kościele p.w. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Szczawie, poświęcona postaci mjr. pil. Antoniego Tomiczka oraz projekcja filmu biograficznego. W organizację uroczystości zaangażowali się oprócz Stowarzyszenia Seniorów Lotnictwa Wojskowego, Muzeum Armii Krajowej i grup rekonstrukcyjnych także opiekunowie Muzeum 1 PSPAK w Szczawie, społeczność szkolna i OSP.

## Grudzień 1944

„Przez uczestnictwo w inscenizacji chcieliśmy upamiętnić postacie lotników oraz przypomnieć ważną część działalności 1 PSP AK.” – mówi reprezentujący limanowskie SRH Janusz Jurowicz. „1 PSP AK miał rozbudowany system do przyjmowania i naprowadzania zrzutów. Ważną rolę odgrywali radiotelegrafisci – tzw. „pelika-

ny”, którzy nawiązywali łączność z bazą (przesyłali meldunki) oraz obstarwiała odbierająca zrzuty. Zrzutowisko „Wilga 311”, usytuowane na obszarze Beskidu Wyspowego i Gorców było aktywnie wykorzystywane od jesieni do zimy 1944 roku. Stanowiło tzw. bastion mający możliwość przyjmowania jednocześnie dużych zrzutów z kilku samolotów”. „Odbiór zrzutu wiązał się z odpowiedzialnością za zorganizowanie sprawnej logistyki”. – dodaje Sławomir Szubryt. „W pomoc odbioru zrzutu zaangażowano kilkaset osób. Żołnierze oraz miejscowa ludność zajmowali się zabezpieczeniem zasobników oraz ich transportem”.



Major Antoni Tomiczek (1915-2013).

**Reportaż zdjęciowy na stronach 34-35**

W listopadzie i w grudniu 1944 roku wykonano kilka zrzutów (broni, leków, sprzętu łącznościowego, dolarów w złocie oraz cichociemnych). Ostatnią nocą zrzutową dla Wilgi była noc z 28 na 29 grudnia 1944 roku, kiedy to z Włoch skierowano do kraju 4 Liberatory i 6 Halifaxów z 1586 Eskadry Do Zadań Specjalnych. Dla bastionu była to szczególna noc, gdyż pojawiło się nad nim aż 8 samolotów. Wkrótce zaniechano tej działalności, gdyż zbliżała się Armia Czerwona...

Jednym z pilotów prowadzącym Halifaxa był wspomniany już mjr Antoni Tomiczek. We wrześniu 1939 roku walczył z Luftwaffe. Dostał się do sowieckiej niewoli, po uwolnieniu przedostał się do Wielkiej Brytanii, a następnie do Włoch. Od sierpnia 1944 roku latał w polskiej 1586 Eskadrze Do Zadań Specjalnych. „Siedział za sterami kilkudziesięciu typów maszyn, odbył 23 skrajnie niebezpieczne loty ze zrzutami: 5 razy nad Polskę, 11 nad Północne Włochy, 3 nad Jugosławię, 2 nad Czechosłowację, 1 nad Gre-

cję i 1 raz nad nieustalonym krajem” (informacja ze strony Muzeum AK w Krakowie). Antoni Tomiczek zmarł 19 listopada 2013 roku. Nie doczekał uroczystości na Polankach Szczawskich, podczas której miał być honorowym gościem.

Historia zrzutów alianckich na terenie Gorców i Beskidu Wyspowego pełna jest zaskakujących i pasjonujących wydarzeń. Kryje również niejedną tajemnicę. Zainteresowanych odsyłam na strony Muzeum Lotnictwa Polskiego.

Pamięć o tych niezwykłych wydarzeniach przetrwała wśród „Białych Górli”, którzy licznie przybyli na inscenizację. Wśród widzów były zarówno osoby starsze, pamiętające zrzuty, jak i najmłodsi miłośnicy przeszłości. Dzięki organizatorom i zaangażowaniu rekonstruktorów obecni mieli możliwość udziału w lekcji historii ożywionej. Następne spotkanie na Polankach Szczawskich odbędzie się w grudniu 2014 roku, w siedemdziesiątą rocznicę ostatniego zrzutu.



Przed drewnianym kościołem w Szczawie grupy rekonstruktorów z 1 PSP AK oraz GRH „Ogniówcy” i GRH „Błyskawica”.

# Co pisała prasa 100 lat temu o bitwie pod Limanową



Rok 2014 rozpoczyna obchody 100. rocznicy I wojny światowej, konfliktu zbrojnego trwającego od 28 lipca 1914 do 11 listopada 1918 r., w efekcie którego Polska po 123 latach zaborów odzyskała niepodległość.

O przebiegu walk na terenach Galicji zachodniej i tzw. operacji limanowsko – łapanowskiej podczas I wojny światowej oraz o znaczeniu strategicznym bitwy na wzgórzu Jabłoniec koło Limanowej pisano w wielu różnego rodzaju publikacjach.

Obecnie przedstawiam materiał opracowany w oparciu o wybrane artykuły, które ukazały się w Ilustrowanym Kurierze Codziennym „IKC” 100 lat temu. Krótkie relacje prasowe z pól walki publikowane w tamtych czasach pozwolą Czytelnikowi „Echa” spojrzeć bardziej dogłębnie i nieco inaczej na przebieg samej bitwy pod Limanową w ogólnej strategii I wojny światowej.

Zanim niektóre relacje przedstawię, podając zarówno ich oryginalne tytuły prasowe jak również daty publikacji, ogólnie przypomnę o prowadzonych już działaniach wojennych w tym czasie: 2 grudnia 1914 roku na południe od Krakowa uprzedzając uderzenie wojska austriacko – węgierskie zaatakowały, rozpoczynając tzw. operację limanowsko

–łapanowską. W natarciu wzięły udział jednostki austriacko – węgierskiej 4. Armii, przerzuconej koleją z północnego brzegu Wisły. W składzie atakujących oddziałów walczyły również jednostki niemieckie (jedna 47. dywizja) oraz polskie legiony. Równocześnie z uderzeniem austriackiego ugrupowania, jednostki 3. Armii rosyjskiej przy-

stąpiły do ataku na zewnętrzną linię umocnień Krakowa. Zostały jednak zatrzymane, nie dochodząc do fortów twierdzy, a następnie odparte przez kontruderzenie obrońców. Natomiast natarcie austriackie prowadzone przez zgrupowanie gen. Jozefa von Rotha wzdłuż dolin Raby, Stradomki i Łososiny początkowo rozwijało się pomyślnie, ale już drugiego dnia bitwy zostało zahamowane w ciężkich walkach na przedpolach Łapanowa i Rajbrotu. Obrona rosyjska na tym odcinku została przelamana dopiero 7 grudnia, zaś nawet wtedy linia frontu przesunęła się zaledwie o kilka kilometrów. Na ten właśnie zwrócony na wschód odcinek austriackiego frontu uderzył 6 grudnia znad Dunajca w stronę Limanowej VIII korpus rosyjski. Rozwinęła się sytuacja, w której każda z walczących stron usiłowała przelamać prawe skrzydło przeciwnika – Austriacy





Die tapferen Ser- und User-Illustration bei Limanowa.

w kierunku na Bochnię, Rosjanie zaś na Limanową i Mszanę Dolną. Obie strony ścigały w rejon walk posiłki, dążąc do rozstrzygnięcia.

Rozstrzygnięcie przyszło jednak z zupełnie innego kierunku – broniąc dotąd linii Karpat na wschód od terenu bitwy, 3. Armia austriacko – węgierska przeszła w dniu 7 grudnia do ofensywy. Działania rozwijały się powoli, jednakże po kilku dniach przekroczone przełęcz w Beskidzie Niskim – uderzenie zaczęło się rozwijać w kierunku na Żmigród i Duklę, a 11 grudnia jednostki armii Boroewicia dotarły na przedpola Nowego Sącza. Armii rosyjskiej zaczęło grozić odcięcie linii komunikacyjnych. Bitwa była zatem właściwie rozstrzygnięta, gdy rozgorzały walki o wzgórze Jabloniec koło Limanowej. Moment ten uchodzi za przesilenie całej operacji, chociaż w chwili, kiedy jednostki VIII korpusu rosyjskiego usiłowały odzyskać Jabloniec rozpoczynał się już odwrót obu rosyjskich armii za Dunajec. Bitwa pod Limanową doprowadziła jednak do zatrzymania naporu w kierunku zachodnim i utraty przez armię rosyjską inicjatywy strategicznej i przyspieszyła do chwilowego wycofania się na wschód.

Co o tym wówczas pisała prasa?

### „Bitwy w Galicji”

- 13 grudnia 1914 rok, „IKC”.

Nie tylko zwykli czytelnicy gazet, nie wtajemniczeni w arkany sztuki wojennej, ale także fachowcy militarni pisujący w dziennikach – w sądach swoich o sytuacji poruszają się na bardzo niepewnym



Serie 461

Offiz. Kriegsführer: Sieg bei Limanowa

Sortowanie zdobyczy po bitwie pod Limanową.

gruncie nie znają dokładnie ani rozkładu wojsk własnych i wroga, ani licznej siły danych armii, ani warunków terenu, ani strategicznego planu dowódców. Stąd wygłaszanym opiniom brak pewnych przesłanek. Tylko sztaby generalne wojujących armii znają faktyczną sytuację i mogą krytycznie ocenić wypadki: Na ogół zaś dowiadujemy się tylko o rezultatach przedsięwziętych operacji, nie znając ich okoliczności poprzedzających faktów ważnych dla jego zrozumienia.

Stąd dalszy wniosek, że wszystkie opinie należy przyjmować krytycznie i traktować jako domysły i przypuszczenia.

„Wojna jej przebieg w zachodniej Galicji” – 14 grudnia 1914 „IKC”.

Na całym froncie od Krakowa, Wieliczki, Rajbrotu, Limanowej, po Nowy

Sącz, zacięte walki, w których losy niejednokrotnie się ważyły. 6 grudnia wojska nasze w krwawej bitwie odrzuciły Rosjan na północ od Krakowa, równocześnie jednak kolumny austriackie musiały cofnąć się spod Nowego Sącza przed przeważającymi siłami nieprzyjacielskimi. Ale nadeszły nowe kolumny posiłków, które **pod Limanową zajęły mocne oszańcowane pozycje**. Tam to Rosjanie skierowali najsilniejsze ataki, **próbując w tym miejscu przełamać linię austriacką**. W dniu 10 grudnia krwawa bitwa toczyła się na całym froncie od Grabia (koło Niepołomic) aż po Limanową (...). Dnia 11 grudnia bitwa pod Limanową osiąga swój punkt kulminacyjny. W następnym dniu - 12 grudnia walka osłabła.

### „Kłeska Rosjan pod Limanową”

– 14 grudnia 1914 r., „Czas” - wydanie – poranne.

C. k. Biuro korespondencyjne donosi: W bitwie w Galicji zachodniej południowe skrzydło Rosjan zostało wczoraj koło Limanowej pobite i zmuszone do odwrotu. Wdrożono pościg za nieprzyjacielem. Wszystkie ataki na resztę naszego frontu bojowego załamały się, podobnie jak w dniach poprzednich.

Zwycięstwo pod Limanową i dotarcie na linię Grybów – Gorlice okazuje wyraźnie, że masowe ataki Rosjan zaczynają ulegać wyparciu i że ofensywa niemiecko – austriacka posuwa się naprzód. Można mieć nadzieję, że kolos zacznie się wycofywać (...).

► **„Pogrom Rosjan pod Limanową”**  
– 15 grudnia 1914 r. „IKC”.

Wielkie bitwy w Galicji Zachodniej toczące się na wschód od Krakowa, aż po Limanową przez Tymbark i dalej w obszarze na południe od Gorlic, Grybowa i Nowego Sącza biorą dla wojsk naszych obrót nader korzystny. Według urzędowych doniesień z daty niedzielnej (13 grudnia), **południowe skrzydło Rosjan koło Limanowej zostało pobite**. Rosjanie tam uciekli ścigani przez nasze wojsko, które zdobyły Nowy Sącz, wkraczając także zwycięsko do Grybowa, Gorlic i Żmigrodu.

Jeśli zwrócimy jeszcze uwagę na ustawiczne zwycięskie wycieczki dzielnej załogi Przemyśla, na sukcesy wojsk naszych w Karpatach, to dostrzeżemy, iż na wielkim froncie bojowym w Galicji Zachodniej wojskom naszym towarzyszy krok za krokiem szczęście. Sukcesy ułatwia nam także ta okoliczność, iż Rosjanie zmuszeni byli znaczne siły przetrząsnąć z Galicji do Królestwa, gdzie silne ataki wojsk niemieckich zmusiły Rosjan do zajęcia stanowisk obronnych.

Wiedeń, 14 grudnia. Urzędowo ogłaszają: W bitwie w Galicji Zachodniej zostało południowe skrzydło Rosjan wczoraj (14 grudnia) koło Limanowej pobite i zmuszone do odwrotu. Wdrożono pościg za nieprzyjacielem. Wszystkie ataki na resztę naszego frontu bojowego zatrzymały się podobnie, jak w dniach poprzednich.

**„Barbarzyństwo czy litość”**  
– 16 grudnia 1914 r. „IKC”.

Do pierwszej chwili wybuchu wojny warunki sanitarne w armii rosyjskiej



Rysunek z „IKC” 16 XII 1914 rok.

bardzo wiele pozostawiały do życzenia, czego dowodem są dziesiątki niezwykle jaskrawych przykładów, z których jeden przytaczamy: Po bitwie w okolicy Limanowej pewien kozak ranny austriackim szrapnelem (pocisk artyleryjski wypełniony kulkami, które rozpryskują się, gdy zadziała zapalnik), przez cztery dni włócił się za swą będącą w odwrocie armią, wcale nie zaopatrzony, skutkiem czego wywiązała się w ranie gangrena, wywołując straszne bóle. Czwartego dnia, kozak widząc, iż dla niego nie ma już ratunku, że nadejście śmierci jest tylko kwestią czasu, postanowił skrócić swą trudną do opisu mękę. W tym celu uprosił jednego z oficerów, aby go zastrzelił i wybawił w ten sposób od straszego konania, co też oficer uczynił. Przypadek chciał, iż oficer ten zginął w kilka chwil później od kuli austriackiej.

**„Telegram biura korespondencyjnego”**  
– 19 grudnia 1914 r. „IKC”.

Ogólny odwrót Rosjan **po klęskach pod Limanową**, Łodzią i nad Bzurą. Bitwa na linii Zakliczyn – Krosno.

Urzędowo ogłoszono wczoraj (18 grudnia). Ostatnie wiadomości nie pozwalają już o tym wątpić, że opór rosyjskiej siły głównej jest złamany.

Na południowym skrzydle w kilkudniowej bitwie pod Limanową, na północy przez naszych sprzymierzeńców koło Łodzi, a obecnie także nad Bzurą zupełnie pobity, zagrożony od południa przez nasz marsz naprzód przez Karpaty, rozpoczął nieprzyjaciół ogólny odwrót, który usiłuje kryć zacięciem, walcząc w obszarze u stóp Karpat. Tutaj atakują nasze wojska z linii: Krosno – Zakliczyn. Na reszcie frontu jest pościg w toku.

**„Rosja przestała być groźnym kolosem”**  
– 20 grudnia 1914 r. „IKC”.

Prasa omawiając znaczenie zwycięstwa nad Rosją stwierdza, że **Rosja przestała być tym kolosem, który miał odegrać decydującą rolę w wojnie światowej**. Rosja jest jeszcze zdolną do oporu, lecz po stratach, jakie poniosła na polach walk **Łodzi, Limanowej i nad Bzurą**, przestała być tą dumną Rosją, która mówiła, że na kształt walca parowego przejedzie przez Niemcy, Austro-Węgry. Upadek kolosa rosyjskiego niweczy wszelkie nadzieje Anglii i Francji. Nieprzyjaciół przestał być groźny.



Nocny atak na oddział kozacki pod Limanową.

**„Klęska Rosjan w Karpatach”**  
– 19 grudnia 1914 r. „IKC”.

Budapeszt 19 grudnia „Az Est” ogłasza następujący telegram Franciszka Molnara, swojego sprawozdawcy w wojennej kwaterze prasowej: Z odzyskanego przez nas Nowego Sącza mogę donieść, że **wielkie zwycięstwo pod Limanową znaczy tyle co zupełne uwolnienie Węgier od Rosji**. Wojska nasze skoncentrowane z nadzwyczajną szybkością za pomocą kolei, napadły w kierunku od Limanowej z flanki (boki, skrzydła szyku wojska) na Rosjan, którzy cofają się w kierunku Lwowa.

**„Z Legionów”**  
– 23 grudnia 1914 r. „IKC”.

**Krzyże za waleczność i walki pod Limanową** i udział w nich legionistów w przekazuje wiedeńskiego korespondenta. Z Wiednia donoszą nam: Ministerstwo Wojny potwierdziło już 1000 „Srebrnych Krzyży” za waleczność 1. Pułku Piłsudskiego (krzyż, a w środku orzeł polski mający na piersiach literę L), zaś dwa ordery „Virtuti militari”, (orzeł piastowski z koroną Kazimierza na głowie, spod korony wystrzela z jednej strony miecz z drugiej berło, Orzeł dzierży w szponach dwie kule) – dla Piłsudskiego, drugi dla Beliny. Oba wzory modelował znany rzeźbiarz polski p. Blaschke.

**Korespondent** „Winer, Allgemeine Zeitung” - opisuje przebieg tak doniosłej w skutkach walki pod Limanową, Sączem itd., która spowodowała załamanie defensywy rosyjskiej na jej południowym skrzydle. Dnia 1 grudnia ukończone zostało ustawienie wojsk, 2 grudnia odbyły się starcia kawalerii, 9 grudnia wybuchły zacięte bitwy o wzgórze pod Limanową.

W tym dniu – powiada korespondent – **oddział polskich legionistów uderzył na prawe skrzydło rosyjskiej grupy pod Limanową w pobliżu Zalesia i z brawurą odrzucił nadjeżdżającą sotnię kozaków.** Wciąż gorętszą stawała się walka od Grabia do Limanowej. Rosjanie potrafili z powrotem zdobyć wzgórze, odebrane już pod Rajbrotem i przypuszczali straszne ataki na Limanową. Na próżno jednak. Tymczasem przez Grybów nadchodziły idące przez Karpaty oddziały ku linii Grybów–Nowy Sącz. Kulminacyjnym punktem bitwy był 11 grudnia. Na próżno próbowali Rosjanie przełamać front pod Niepołomicami. Idącym od Limanowej oddziałom udało się otoczyć wyżynę na wschód od Zalesia, podczas gdy oddział znad Dunajca i zwycięski (pod Zalesiem) Legion wykonały atak na Nowy Sącz, któremu jednocześnie na pomoc sunęła austriacka kawaleria, od doliny Popradu. Pod tym naciskiem zewsząd napierających oddziałów karpaccich Rosjanie rozpoczęli odwrót, który miejscami zamieniał się w ucieczkę.

**„Niemcy ochotnicy w bitwie pod Limanową”**  
- 29 grudnia 1914 r., „IKC”

Główna kwatera wojenna. Nasz korespondent donosi: Natychmiast po przybyciu wojsk niemieckich pod Limanową, skierowano ich do bitwy. Wśród załogi walczących żołnierzy niemieckich 60 procent tworzyli ochotnicy. Byli to najlepsi żołnierze w swych szeregach. Z niesłychaną pogardą śmierci rzucali się ci młodzieńcy na ufortyfikowane przez Rosjan wzgórze Mordarki. Obok nich atakowali honwedzi: padł w bitwie tej rotmistrz Thun Hohenstein. Rannych oficerów niemieckich przyjął arcyksiążę Karol Stefan Habsburg z Żywca do swego majątku.

**„Informacje z Limanowej”**  
- 30 grudnia 1914 r., „IKC”

Przed kilku dniami jeden z dzienników krakowskich przyniósł wiadomość,



Po bitwie na Jabłońcu „Wszyscy polegli w cichej zgodzie, chociaż w przeróżnych pozach i w poplątanych stosach leżeli na śniegu” - tak wspominał pochówek żołnierzy na wzgórzu Jabłonic jego bezpośredni uczestnik.



Spalone stajnie w majątku Marsów (tzw. „spalenisko”).



Przejazd austriackich taborów sanitarnych.

że Limanowa została niemal całkowicie zniszczona. Od jednego z oficerów wracających z pola bitwy dowiadujemy się, że alarmująca powyższa wieść zupełnie mija się z prawdą. Limanowa prawie zupełnie nie ucierpiała, tylko kilka chałup na krańcach miasta zostało spalonych.

### **Z pobytu Rosjan w Galicji Zachodniej**

– 29 grudnia 1914 r., „Czas”- wydanie wieczorne.

Z okolic Limanowej donoszą nam, że wojska rosyjskie bawiły tam dwa tygodnie, gospodarując „po swojemu”. Księżom pozabierano wszystką gotówkę i zegarki. Ludności wiejskiej zabrano żywność, bydło i nierogaciznę. Najgorzej na inwazji wyszły dwory, które zrabowano doszczętnie. Takiemu losowi uległ i dwór w Przyszowej (pełen pamiątek i starych dokumentów, gdyż od paru wieków był w rękach rodziny Żuk – Skarszewskich) –zrabowano w nim literalnie wszystko, co dało się zabrać.

Z listu prywatnego z Limanowej wyjmujemy następujące szczegóły: Sytuacja nasza po pobycie wojsk rosyjskich i po zaciętych bitwach, jakie się tu toczyły, jest po dziś dzień bardzo ciężka. Rekwizycje rosyjskie pozbawiły miasto wszelkich niemal środków żywności, skutkiem czego zapanowała w mieście ogromna drożyzna, funt mąki kosztuje koronę, funt cukru także koronę, a niewiadomo kiedy się to skończy.

Zniszczenie, jakie sprawiły walki, jest znaczne. W ulicy Sądeckiej zgorzały trzy domy, na plebanii stodoły, w majątku marszałka Marsa, w Starej Wsi stajnie z 60 sztukami bydła, dalej zgorzał dwór lipowski, należący do plebanii. W szczególnie ciężkim położeniu byliśmy w czasie od 8 do 12 grudnia, wówczas mieszkaliśmy w piwnicach z obawy przed granatami. Na szczęście jednak ofiar w ludziach nie było wiele.

\*\*\*

Kończąc prezentację artykułów publikowanych w krakowskim „Ilustrowanym Kuryerze Codziennym”, przedstawiam apel Polskiego Centralnego Komitetu Ratunkowego w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, który wzywał rodaków mieszkających za oceanem do niesienia pomocy dla polskich ofiar trwającej I wojny światowej.

### **Ratujmy Ojczyznę naszą!**

– 24 stycznia 1915 r., „IKC”.

Rodacy! Któż z Was nie słyszał o tym co obecnie dzieje się w naszej nieszczęśliwej Ojczyźnie? Prasa całego świata stwierdza dziś jednogłośnie, że kraj nasz to jeden wielki cmentarz, jedno pogorzeliśko, po którym błakają się wśród ruin miliony głodnych łachmanami, okrytych nędzarzy, nie mających gdzie skłonić głowy wśród mrozów i śnieżnych zamieci. A milionowe armie w dalszym ciągu szerzą śmierć i zniszczenia (...).

**Fotografie: arch. albumu „Okruchy pamięci”**

**Arch. pocztówki ze zbiorów:**

**Jacka Drożdżaka, Zbigniewa Sułkowskiego**



Brama wejściowa do południowej części cmentarza na wzgórzu Jabłoniec. W głębi obelisk z krzyżem maltańskim na tarasie widokowym w północnej części cmentarza - 1916 rok.



Wygląd cmentarza na wzgórzu Jabłoniec, po jego wybudowaniu wg projektu Gustawa Ludwiga. Cmentarz ogrodzony został kamiennym murem. W środku między bramami umieszczono kaplicę - mauzoleum - 1916 rok.



# „Willa Zacisze” w Limanowej

Przy końcu krótkiej ulicy Orkana w Limanowej pośród malowniczego starodrzewu stoi piękny dworek, który swą wyjątkową architekturą przyciąga uwagę wielu przechodniów. Dworek ten przez swych budowniczych i pierwszych właścicieli nazwany został „Willą Zacisze”.



„Willa Zacisze” - 1934 rok.

W dwudziestoleciu międzywojennym, gdy dworek ten budowano, miejsce to stanowiło prawdziwą oazę ciszy i spokoju. Od wschodu i południa willę otaczały rozległe łąki (dziś stoi tu budynek Liceum), od strony rzeki Sowlinki poniżej skarpy był lasek olchowy, który zachował się do współczesnych czasów. Jedynie od strony zachodniej istniał tartak Salomona Lustiga, lecz nie był on zbyt uciążliwym sąsiedztwem (obecnie są to tereny przyszpitalne).

Projektantem i budowniczym dworku był ówczesny budowniczy dróg i mostów na Limanowszczyźnie inż. Krzysztoń, zapalony amator jazdy w siodle na koniu. Jedną z takich eskapad zakończyła się dla niego tragicznie, gdyż podczas upadku z konia zginął na miejscu. Zdesperowana żona wystawiła wówczas posiadłość na sprzedaż przez pośrednika z Krakowa. Nabywcami dworku zostali moi dziadkowie Bronisława i Roman Reymanowie. Mieszkali oni wówczas w Wolnym Mieście Gdańsku i zakup willi w 1934 roku spełnił ich marzenie, aby na stare lata zamieszkać w górach.

Wydarzenie to sprawiło, że dom stał się mieszkaniem dla sześciu pokoleń dwóch rodzin. Pierwotnie rodziny Rey-

manów, a od lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku rodziny Pilawskich. Szczególną rolę „Willa Zacisze” odegrała w czasie II wojny światowej. Dała ona dom i schronienie dla wielu osób z obu rodzin. Tu odbywały się okupacyjne wigilie oraz pomimo okropności wojny rodzinne spotkania. Pod dachem dworku znaleźli również miejsce przesiedleńcy z Poznańskiego do Generalnego Guber-

natorstwa tzw. Poznaniacy. ( Wojenne losy rodziny Reymanów opisałem w numerze z lipca – sierpnia 2013 r. „EL”).

Po wojnie w 1945 roku obie rodziny: Reymanów i Pilawskich wróciły do Gdańska. Dom pozostał wtedy pod opieką państwa Apolonii i Jana Sułkowskich i ich syna Stefana.

Trudne warunki życia w Gdańsku, zniszczenia wojenne i brak pracy spowodowały, że seniorzy rodziny Reymanów: Bronisława i Roman wrócili pod koniec lat 40-tych do swojej siedziby w Limanowej. Rodzina Pilawskich wróciła do Limanowej w roku 1952 i zamieszkuje „Willę Zacisze” do czasów obecnych”.

Przez wszystkie lata powojenne dworek był świadkiem zarówno zwyczajnych, codziennych poczynań, a także wydarzeń większych jak zjazdy rodzinne czy uroczystości jubileuszowe. Jednym z ważniejszych wydarzeń był pierwszy powojenny przyjazd w roku 1961 Edmunda z Ameryki do Limanowej syna Bronisławy i Romana. Wydarzenie to stało się okazją do dużego zjazdu rodzinnego. Takich odwiedzin wujka z Los Angeles było jeszcze kilka w latach następnych.

Złote gody Bronisławy i Romana Reymanów stanowiły szczególnie ważną uroczystość, jaka miała miejsce w 1965 roku w „Willi Zacisze”. Okolicznościową Mszę św. odprawił wówczas na werandzie południowej ks. prałat Ludwik Kowalski.



Od lewej: Helena Matusińska, Stefania Skwarczyńska, Helena Reyman, siedzi Bronisława Reyman obok Roman Reyman, Jadwiga Matusińska, Bolesław Reyman, Edmund Reyman - na jego rękach Tadeusz Reyman, Leszek W. Pilawski - syn Ireny Pilawskiej z domu Reyman, Zygmunt Łukaszek, Cecylia Reyman.

„Willa Zacisze” była również świadkiem pogrzebów starszych jej mieszkańców, jak i wesel młodszych pokoleń. Takie są losy wszystkich wiekowych domów.

Jest ona dla mnie szczególnie ważnym miejscem na ziemi: domem rodzinnym. Na miano to zasługuje z tego powodu, że mieszkałem tu zarówno z dziadkami, rodzicami, jak i też z dziećmi i wnucami. Jest to dom rodzinny, w którym zawsze czuje się atmosferę czasów minionych, jak również tworzy się nową historię dla następnych pokoleń.

Niepowtarzalna atmosfera i urok dworku sprawiają, że z utęsknieniem myśli się o nim nawet po drugiej stronie Atlantyku i z wielką radością wraca się do niego z wszelkich wojaży.

Swojskość i unikalny urok „Willa Zacisze” zawdzięcza podobieństwu do architektury polskiego dworu z alkierzami. Oryginalny plan domu z czasów budowy pokazuje rozkład pomieszczeń na rzucie poziomym. Główne pomieszczenia znajdują się wewnątrz prostokąta o wymiarach: 10m na 15,5m. Do trzech ściętych narożników tego prostokąta dobudowane są efektowne przeszklone werandy. Do czwartego narożnika dobudowany jest alkierz z pomieszczeniami gospodarczymi i schodami do piwnicy i na strych. Dodatkową ozdobą domu są dwa duże tarasy. Wschodni osłonięty jest oryginalną barierą z betonowych słupów połączonych żelbetowym zwieńczeniem.

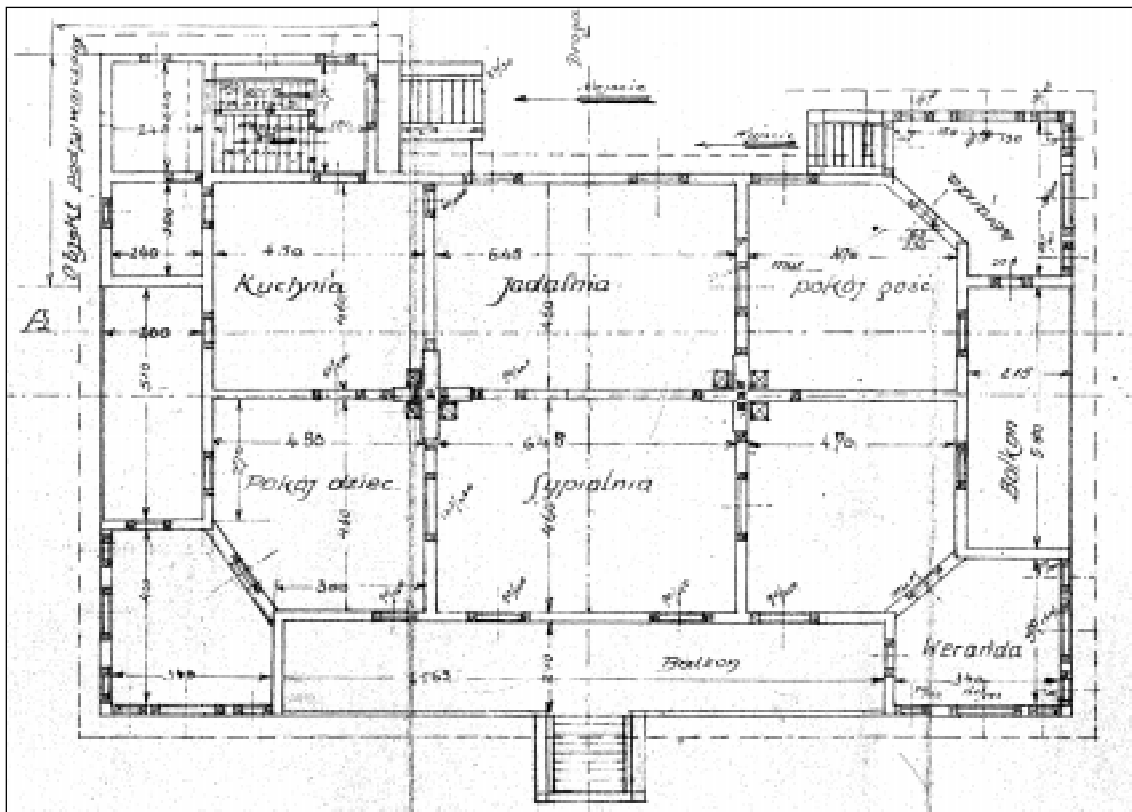
Przestrzeń pomiędzy słupkami wypełnione są pięknymi drewnianymi przęsłami. Taras ten nie jest osłonięty dachem. Od południowej strony znajduje się nieco mniejszy zadaszony taras. Tutaj bariera wykonana jest całkowicie z drewna, której ornamentyka jest identyczna jak w przęsłach od strony wschodniej. Pośrodku tej bariery znajduje się niezwykle oryginalne podparcie dachu, które od pojedynczego słupa na dole, dzięki niezwykle kunsztowi ciesielskiemu, przechodzi w podporę wykonaną na kształt rozchylonego wachlarza. Pierwotnie posadzki na obu tarasach wykonane były z wylewki cementowej. Jednak z upływem lat materiał ten uległ pokruszeniu. Dlatego na tarasie wschodnim położone zostało lastriko płukane, a na południowym płytki z terakoty mrozoodpornej.

„Willa Zacisze” posadowiona jest na podmurówce z piaskowca łamanego na zaprawie cementowej o wysokości 1 metra. Na tej wysokości znajduje się cały parter domu. Na podmurówce wybudowane są ściany zewnętrzne i wewnętrzne, których głównym materiałem są belki drewniane łączone w narożnikach na zrąb. Jedynie fragmenty ścian z kominami wykonane są z cegiel.

Wszystkie ściany z obu stron są otynkowane zaprawą wapienną i zatar-te na gładko. Aby zapewnić przyczepność do drewnianych ścian przed otynkowaniem przybite zostały wiklinowe warkocze, gdyż wówczas nie były znane dzisiejsze metody układania tynków na siatce. Podłogi w pokojach wykonane są z desek. Światło do wnętrza domu dochodzi przez okna z podziałem szczeblikami na małe szybki. Do domu można wejść siedmioma drzwiami o różnej szerokości. Aby zapewnić właściwe proporcje bryle domu na tak dużym rzucie poziomym wysokość pomieszczeń jest dobrana odpowiednio do tego planu i wynosi 3,30m we wszystkich pokojach głównych i 3,50m na werandach.

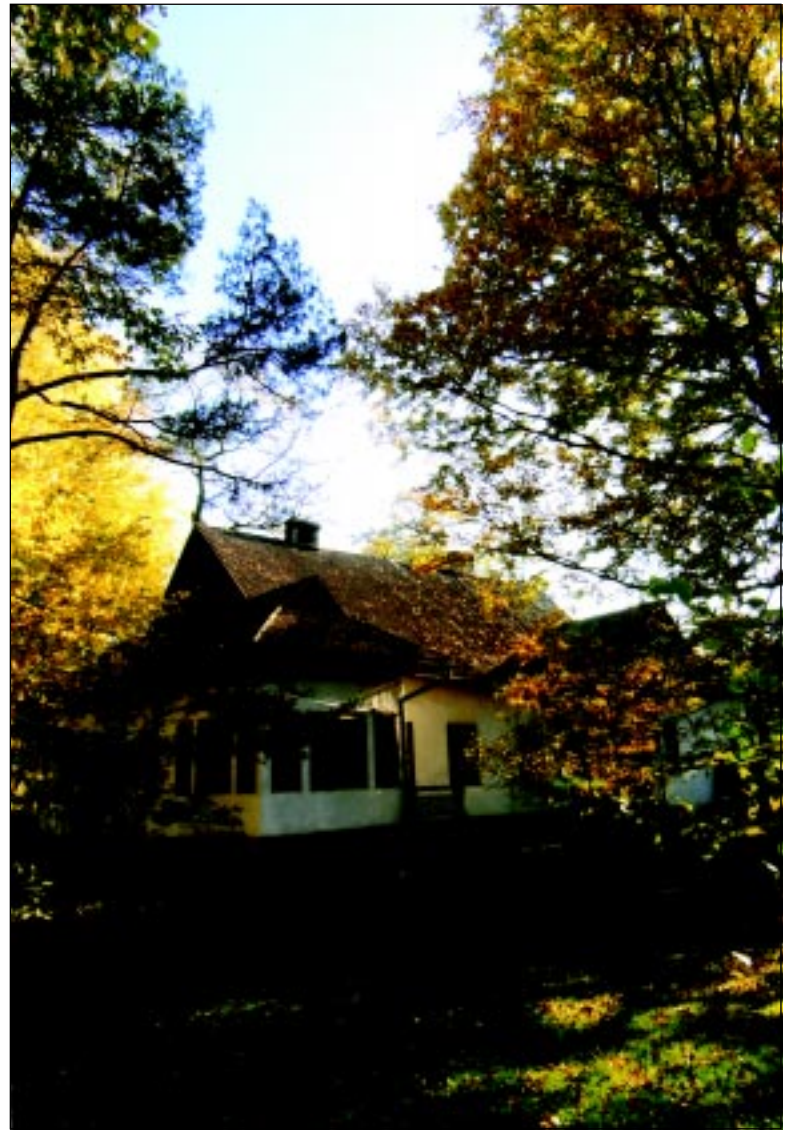
Bardzo pięknie i oryginalnie rozwiązana została architektura dachu. Główna bryła dworu przekryta została dachem dwuspadowym o kalenicy równoległej do dłuższego boku prostokąta. Nad alkierzami wykonano mniejsze dachy o kalenicach prostopadłych do głównej, zakończonych trójkątnymi oknami ozdobionymi charakterystycznymi słońcami. Dzięki takiemu rozwiązaniu dach domu ma piękną wielospadową bryłę. Początkowo dach pokryty był gontem, lecz ząb czasu wymusił zmianę pokrycia w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku na jedynie wówczas dostępny eternit falisty.

(ciąg dalszy na stronie 37)



Rzut poziomy - parter „Willa Zacisze” z 1920 r.





Fotografie: Leszek Wojciech Pilawski

## Cztery pory roku w „Willi Zacisze”





# Ostatni lot nad





# Szczawą



Fotografie: Dariusz Bielak, Zbigniew Dutka,  
Janusz Jurowicz, Janusz Rybiński





[www.szubryt.pl](http://www.szubryt.pl)

*Jakość zatacza coraz większe kregi*

Zakłady Mięsne Szubryt Zbigniew Szubryt

ul. Węgrzynek 50, 33-395 Chetmiec

tel. 18 443 05 60, 18 440 47 67

**Szubryt**®  
**ZAKŁADY MIĘSNE**



# Szybki PIT w Urzędzie Skarbowym w Limanowej

Nie czekaj na ostatnią chwilę, złóż PIT już teraz. Więcej informacji znajdziesz na [www.szybkipit.pl](http://www.szybkipit.pl)

Rozlicz się przez Internet, a:

- otrzymasz szybciej zwrot nadpłaty,
- masz pewność, że zeznanie podatkowe dotarło do odpowiedniego urzędu skarbowego,
- oszczędzasz czas i pieniądze.

W celu zobrazowania podatnikom korzyści płynących z terminowego i szybkiego składania deklaracji rocznych Urząd Skarbowy w Limanowej w ramach akcji Ministerstwa Finansów „Szybki PIT” organizuje:

- W dniu 5 kwietnia 2014 r. (sobota) „Dzień otwarty Urzędu Skarbowego”. W tym dniu Urząd Skarbowy w Limanowej czynny będzie m. in. dla podatników chcących złożyć zeznanie podatkowe lub uzyskać informacje nt. rozliczenia rocznego PIT w godz. od 9<sup>00</sup> do 13<sup>00</sup>;
- W dniach 28, 29 i 30 kwietnia 2014 r. w tut. Urzędzie zeznania podatkowe będą przyjmowane na Sali obsługi podatnika do godz. 18<sup>00</sup>.

(dokończenie ze strony 32)

## „Willa Zacisze” w Limanowej

W chwili zakupu, dom nie posiadał żadnych instalacji. Jedynie w głównych pokojach stały piece kaflowe przeznaczone do opalania wyłącznie drewnem. Wkrótce po zakupie nowi właściciele Reymanowie wraz z sąsiadami, Seidlerami, którzy mieszkali wówczas przy Alei Becka dawnej ul. Krakowskiej, doprowadzili z okolicy stacji kolejowej na słupach prąd elektryczny. Były to pierwsze udogodnienia w tych domach. Wodę nosiło się wiadrami ze studni, która znajdowała się na działce, gdzie obecnie stoją tzw. magazyny.

Wybuch wojny i siermiężne czasy komunistyczne spowodowały, że dopiero w latach 50-tych już po wykopaniu własnej studni wykonana została w „Willi Zacisze” instalacja wodociągowa. Dzięki temu można było urządzić dwie łazienki. Wreszcie dworek otrzymał standardy XX-wieczne. Jednak ogrzewanie nadal zapewniały piece, lecz już przebudowane na węglowe. W roku 1977 odkryto, że cały zachodni alkierek dworu, gdzie były pomieszczenia gospodarcze został zaatakowany przez grzyb domowy. Ten ogromny problem udało się pokonać dzięki wymianie zniszczonych elementów ścian drewnianych na murowane.

W następnym roku wykonana została ogromna praca związana z kopaniem i murowaniem kanałów ciepłowniczych pod podłogami wzdłuż wszystkich ścian zewnętrznych. W 1978 roku wykonano instalacje centralnego ogrzewania z kotłownią w piwnicy. Od tego momentu „Willa Zacisze” stała się już domem komforto-



„Nigdy nie jest tak, żeby człowiek czyniąc dobre drugiemu, tylko sam był dobroczyncą. Jest równocześnie obdarowywany, obdarowany tym, co ten drugi przyjmuje z miłością.”

Jan Paweł II

## Podziękowanie

Dziękuję bardzo za ogromne serce,

fakty mi Państwo okazujecie, pomagając rokrocznie w gromadzeniu środków z 1% podatku na moje leczenie.

Dzięki takim wrażliwym i dobrym ludziom, dostaję szansę na kontynuowanie kosztownej rehabilitacji w Międzynarodowej Klinice Rehabilitacyjnej w Truskawcu i w kraju, a także możliwość korzystania z bardzo drogiego, ale niezbędnego do codziennego funkcjonowania sprzętu.

~Dziękuję~

Maciek Wójtowicz  
Limanowa, 2014

wym. W roku 2012 doprowadzony został do dworku gaz ziemny i centralne ogrzewanie uzupełniono o piece gazowe. Te prace sprawiły, że „Willa Zacisze” spełnia już standardy XXI wieczne.

Z tyłu za głównym domem stoi tzw. mały domek z pomieszczeniami gospodarczymi i w chwili zakupu z mieszkaniem służbowym. Domek ten wykonany jest ze szkieletu drewnianego wypełnionego suszoną cegłą. Domek przekryty jest dachem dwuspadowym pokrytym dachówką.

„Willę Zacisze” otacza piękny park, który tworzą wiekowe drzewa. Wśród nich rosną wszystkie charakterystyczne dla polskich lasów drzewa: dąb, buk, lipa, klony, brzoza, sosna, świerk, jodły, modrzewie, brzozy i dwie limby. Główna aleja wejściowa wytyczona została przez szpaler bżów. Ogród staje się szczególnie piękny od kwietnia przez maj do czerwca, gdy kolejno zakwitają: śnieżyczki, pierwiosnki, zawilce, całe łany niezapominajek, a potem piwonie, jaśmin, róże i w lipcu fioletowe „dzwonki”.

Tak wygląda ogród wokół domu. W głębi ogrodu znajduje się sad owocowy z jabłonią, wiśnią, czereśnią, śliwkami i porzeczkami. Zarówno domy jak i ogród wymagają nieustającej opieki, aby mogły cieszyć następne pokolenia mieszkańców.

Pomimo tego, że po latach sąsiedztwo dworku nie jest już tak zaciszne jak pierwotnie, to jednak dom ten nadal roztacza aurę tajemniczości oraz wiekowej tradycji i historii sześciu pokoleń, a parkowe otoczenie powoduje, że o każdej porze roku dom otacza wyjątkowy klimat i nastrój.

**Fotografie: arch. rodziny Reymanów**





# Rafineria w Sowlinach Inaczej – cz.2

Marek Pankiewicz

**Ktoś spyta, a czemuż inaczej? Otóż dlatego, że dzieje Rafinerii i Sowlin opisano już wielokrotnie, ale tym razem obraz początku jej upadku przedstawię w inny sposób, czyli oczyma dziecka – syna wieloletniego pracownika tejże fabryki.**

**W kolejnych wspomnieniach prezentuję kilka obrazków z Rafinerii w Sowlinach odmiennie, mówiąc z przymrużeniem oka „śmieszno i straszno”.**

**Owe wspomnienia z mego dzieciństwa rozpoczną nieco poważniejszą podróżą niż rafineryjną bryczką do szczepienia w Limanowej, czyli przejazdką zakładową lokomotywą.**

## ***Podróż lokomotywą***

Podczas kolejnych odwiedzin u ojca w jego biurze, ten, jak to zazwyczaj najczęściej bywało, nie miał dla mnie wiele czasu. Zajęty jakąś pilną pracą, wyprowadził mnie na fabryczną bocznice kolejową, do zagadkowego pojazdu szynowego i zostawił pod opieką jego maszynisty.

Byłem uszczęśliwiony! Zostałem prawdziwym kolejjarzem, a ten kolejowy wehikuł po chwili ruszył do pracy! Moje emocje sięgnęły zenitu wrażeń pierwszą w życiu podróżą koleją!

Za oczyma pojawiały mi się coraz to nowe, nieznanne obiekty Rafinerii, jakieś wielkie zbiorniki i nagle przeraźliwy huk, wstrząs, niemile odczute zderzenie i stop! Koniec podróży! Zatrzymaliśmy się na

zderzakach stojącej gdzieś za nami cysterne kolejowej. Po chwili jechaliśmy już śmiało do przodu, ciągnąc za sobą tę nieśczęsną cysterne. Znowu stop! Jacys ludzie odczepiają tę przywleczoną cysterne, przejazd na sąsiednie torowisko i jazda z powrotem, po następną. Później przedstawianie tej pierwszej na inne stanowisko i tak w koło macieju, a dokładniej tam i z powrotem, tam i z powrotem.

Ta początkowa fascynacja koleją powoli mijała. Z upływem czasu te przejazdy stawały się coraz to bardziej nużące. Maszynista, co prawda, starał się mnie zabawić, opowiadając o swej kolejarskiej robocie i objaśniał do czego służą rozmaite przyrządy, którymi wprawiał w ruch lokomotywę. Ale mnie coraz mniej inte-



Autor wspomnień.

resowały demonstrowane w użyciu zabawki dla dorosłych. Coraz bardziej tęskniłem za ojcem. Niestety wybawienie nie nadchodziło. Ojciec zapomniał o swoim dziecku, kołatało mi w głowie. Nie potrafię dzisiaj określić jak długo trwała ta podróż bez końca po rozległej przestrzeni Rafinerii. Wreszcie doczekałem się jej finału. Maszynista skończył pracę, pomógł mi wygramolić się z tego „wehikułu czasu” na żelaznych kołach i odprawił do ojca. Co za ulga. Tak zakończyła się moja pierwsza a zarazem ostatnia w życiu podróż lokomotywą.

Jednak tę bocznice kolejową Rafinerii odwiedzałem jeszcze kilkakrotnie. Otóż odkryłem przy niej rozrzucone skar-



by, ołowiane plomby! Wszystkie, dostarczane cysterny paliwa czy oleju były plombowane, a robotnicy przepompowujący zawartość do wielkich rafineryjnych zbiorników, musieli te plomby zrywać. I tak, przez lata, zaśmiecali torowisko bocznicy.

Wracając ze szkoły, odwiedzałem czasami ojca w jego biurze. Zajętemu swoją pracą, długo nie przeszkadzałem i najczęściej udawałem się na swoją własną trasę patrolową po najbliższych okolicach Rafinerii. Nie szwendałem się tam bez celu po fabrycznych warsztatach. Nikomu nie przeszkadzałem w pracy, widocznie dlatego tolerowano moją obecność. Pierwsze kroki kierowałem do rybek pluskających w strażackim zbiorniku, które dokarmałem resztkami szkolnego śniadania. A wracając do ojca troszeczkę okrężną drogą, zerkalem czy „moja” bocznicą jest wolna od zagrożeń. Jak było spokojnie, szybkoitko zbierałem do tornistra kilka garstek plomb. Wracając do domu, odwiedzałem składnicę złomu, tam gdzie przed wojną była rafineryjna wytwórnia beczek (obecnie lodów Korala) i po zamianie ciężko zdobytego „urobku” przyszłego górnika na brzęczącą monetę, z lekkim już tornistrem wstępowałem następnie do „Konsumu” (o którym wspomnę w następnym obrazku), gdzie nabywałem torebkę cukierków.

Lecz wszystko ma swój, najczęściej smutny koniec. Pewnego dnia odkryłem że „moje” ołowiane plomby zamieniono na bezwartościowe plomby aluminiowe. I tak skończyła się moja, co prawda krótka, ale dochodowa kariera złomiarza. Nigdy nie przyznałem się ojcu z wynoszenia tych nikomu już niepotrzebnych plomb. Miałem katagoryczny zakaz wałęsania się

samopas po terenie strzeżonego przeciw zakładu. Ale wybeczałem wyjątkową zgodę na odwiedzanie tych biednych, głodnych rybek „mieszkających” przy głównej drodze wewnętrznej Rafinerii. Nikt z dorosłych nie miał do mnie, wówczas dziecka, najmniejszych uwag czy pretensji.

Wracam do mych dzieciennych wspomnień, gdy po latach zrozumiałem wreszcie, o co w tym wahadlowym jak je nazywałem „podróżach ciuchcią” chodziło. Otóż za czasów świetności przed i po I wojnie światowej, Rafineria dysponowała własnym parowozem, a nawet dostosowaną do jego rozmiarów parowozownią. Podstawione wahadła cystern, parowóz ten odbierał ze stacji Limanowa i dostarczał bezpośrednio do Rafinerii. Ładunkiem była wyłącznie ropa naftowa z Borysławia. Całe wahadło podstawiano na rafineryjną bocznice pod zbiorniki, aby wypompować ropę do przetworzenia po czym gotowe produkty wysyłano do odbiorców, głównie naftę, a dodatkowo benzynę i olej smarowy. Po II wojnie światowej Rafinerię przekształcono w Skład Dystrybucji CPN. Asortyment magazynowanych produktów bardzo się różnicował. Benzyna czysta, wysoko i nisko oktanowa, tajemnicze wojskowe paliwo lotnicze i wiele gatunków oleju. Broń Boże nie można było czegoś pomieszać w magazynowych, rafineryjnych i dostawionych nowych zbiornikach rozwiniętą siecią podziemnych rurociągów.

Lecz podstawowym problemem okazał się zakaz wjazdu na teren Rafinerii, dymiących i groźnie iskrzących parowozów. Dlatego też parowozy PKP, wycyfowały od tej pory całe wahadła cystern od stacji Łososina Górna, rafineryjną bocz-

nicą tylko do kolejowej bramy wjazdowej CPN. Tutaj swą rolę przejmowała już mała lokomotywa spalinowa zwana potocznie „przetaczarką”. Była o wiele słabsza, stąd też manewrowała najczęściej pojedynczymi cysternami i to w określonej kolejności. Stąd też wynikała moja wielogodzinna, rozpaczliwa podróż po Rafinerii, tam i z powrotem, tam i z powrotem, aż do ostatecznego, wybawiającego końca.

Ostatnia cysterna dotarła do Rafinerii w latach 90-tych ubiegłego wieku, a ostatnim maszynistą kolejowym, który przeciągnął ją przez bramę wjazdową, był Józef Janik.

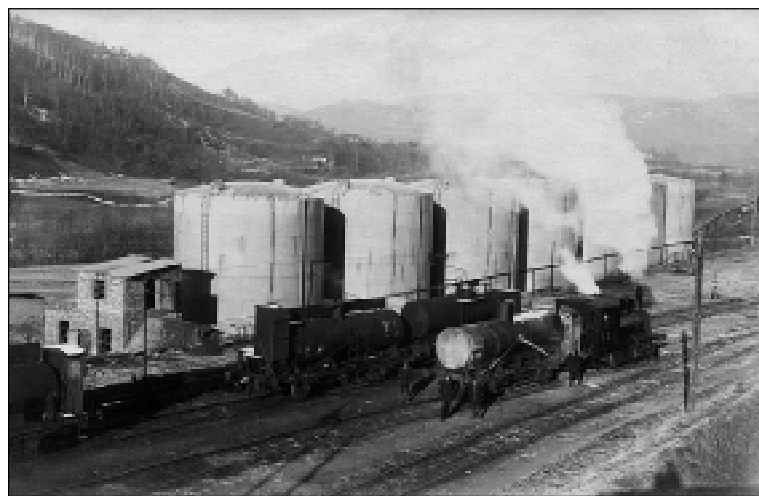
Nie dane mi było wymazać z pamięci tej przeżytej w dzieciństwie „podróży bez końca po przestworzach” 45- morgowego majątku Marsa „Olbrzymiej Rafinerii Nafty” jak nazywa ją „Przewodnik po Galicyi z 1914 roku”.

Gdy dorosłem, przyszło mi znowu „podróżować bez końca” jeszcze przez wiele lat koleją transversalną do kamieniołomów w Kłęczanach. Ale już w innych warunkach, siedząc w przedziale wagonu osobowego i pogrywając z równie jak ja znudzonymi kolegami w „zechcyka” (gra w karty, klasyczne „sześćdziesiąt sześć”) – była to niejako urzędowa gra kolejarzy na nieczynnej już linii kolejowej Nowy Sącz – Chabówka.

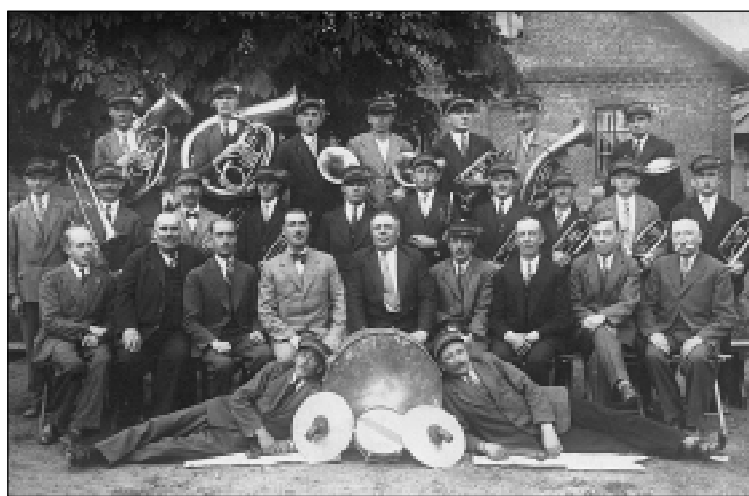
## Majówki

Od roku 1923 istniała przy Rafinerii słynna przez następnych kilkadziesiąt lat orkiestra dęta „Echo Podhala”.

Przez lata uświetniała swymi występami wszelkie uroczystości państwowe i kościelne, obchody świąt ludowych, manifestacje 1 Majowe oraz ważniejsze pogrzeby. ▶



„Przetaczarka” cystern na bocznicy kolejowej Rafinerii.



Orkiestra Rafinerii na plantach parku kasztanowców.



Trzypiętrowy budynek Strażnicy pożarowej.



Za moich młodych lat w obchodach świąt 3-Maja nie brała ona udziału, bo ich organizacji w tych czasach zabraniano.

Dla nas „Dzieci Sowlin” największą atrakcją z udziałem tej orkiestry były „Majówki”. Te koncerty organizowano spontanicznie, od serca, bez jakiegokolwiek wynagrodzenia, bez kapelmistrza, w niepełnym składzie muzykantów pochodzących tylko z Sowlin i najbliższych okolic. Gdy nadchodził okres obchodów świąt majowych, każdego dnia zebrani muzykanci wyruszali na pobliską górkę, gdzie na zacisznej polance rozkładali swoje instrumenty. Po krótkiej rozgrzewce rozpoczynali swój występ. Majowe dźwięki unosiły się wysoko w niebiosa na Chwałę Bożą, rozbrzmiewały daleko po okolicznych górach, spływały na całe Sowliny ku radości mieszkańców, ale i ku własnemu zadowoleniu muzykantów, dumnych ze swego artystycznego kunsztu posługiwania się przeróżnymi trąbami, trąbkami, fletami, puzonami i Bóg wie czym tam jeszcze. Co jakiś czas zarządzano przerwę, aby zwilżyć zaschnięte od dęcia w instrumenty gardła małym kieliszkiem okowity. Po chwili ponownie rozlegały się nad Rafinerią i odbijały od przeciwległych wzgórz nowe tony dźwięków.

Schowani w pobliskich krzakach, my nieliczni wtajemniczeni w ten rytuał, słuchaliśmy z zachwytem, lecz oczekiwaliśmy z niecierpliwością, w napięciu ostatnich akordów.

Orkiestra niespiesznie pakowała swoje instrumenty, opuszczając ten salon koncertowy „Pod Szmaragdowym Nieboskłonem”, a dla nas, najwierniejszych słuchaczy, zostawało zawsze kilka pustych butelek, które skwapliwie zamienialiśmy w pobliskim sklepie spożywczym zwanym

„Konsumem” w cenie 1 złoty za każdą butelkę, na torebkę cukierków, dokonując po chwili przed drzwiami sklepu sprawiedliwego ich podziału. A wspomniany „Konsum” to też był przyrafineryjny wynalazek – taki ówczesny supermarket. Założony w 1911 r. przez Robotnicze Stowarzyszenie Spółdzielcze „Jedność” jako przeciwwaga limanowskich, żydowskich sklepikarzy, załączek późniejszej Miejskiej Spółdzielni Zaopatrzenia i Zbytu w Limanowej.

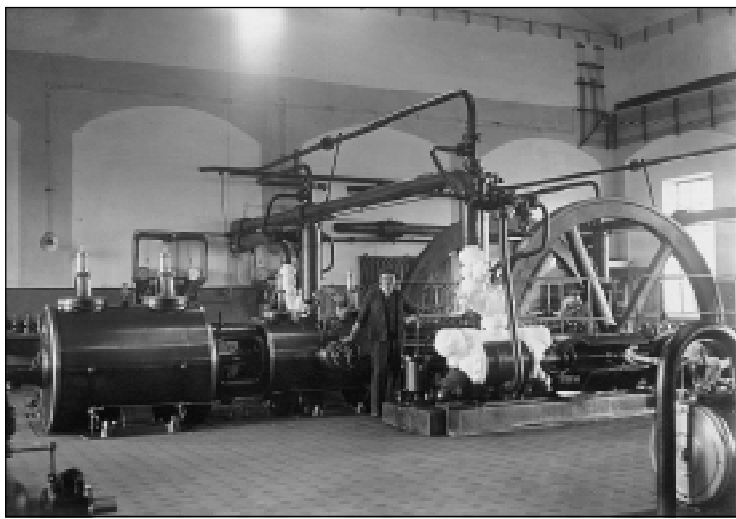
Nas, wówczas szczeniaków, z oferowanego w tym sklepie asortymentu towarów, interesowały jedynie cukierki i oranżada w szklanych butelkach z metalową kabłą wielokrotnego użytku tzw. „krachle” (butelki z zamknięciem kabłąkowym). Stały tam jeszcze drewniane beczki solonych wraz ze łbami niepatroszonych śledzi, które trzeba było przed spożyciem kilka dni moczyć w wodzie, a obok, za ścianą, w części przemysłowej sprzedawano naftę do lamp naftowych. Takie to były czasy jeszcze pół wieku temu.

## **Pragnąłem być strażakiem**

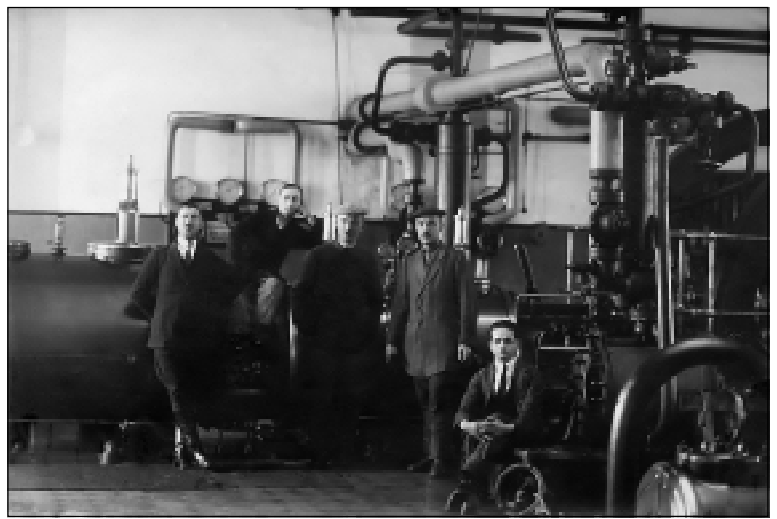
Poza kominem co oczywiste, nad Rafinerią górował jeszcze jeden obiekt – Strażnica. Nad bezpieczeństwem pożarowym czuwał całą dobę zakładowy oddział straży pożarowej. Początkowo mizernie wyposażony w podstawowy sprzęt gaśniczy, powoli dorobił się znacznych zapasów środków pianotwórczych, wozu bojowego i innych, niezbędnych w tym zawodzie gadżetów. Ale jeszcze z czasów przedwojennych w pobliżu strażnicy zainstalowany był wielki, betonowy zbiornik wodny, o dziwo pełen pluskających się w nim ryb. W czasach które wspominam,

opiekunem wszystkich obiektów straży pożarnej zakładu był zapalony wędkarz – komendant Król. Spotykałem go często z wędką nad Sowlinką. Złowione ryby zabierał do sadzika i zarybiał nimi zakładowy zbiornik. Tak powstało olbrzymie akwarium dokarmiane przez robotników Rafinerii. (Na marginesie – syn komendanta Króla – Jurek, przez wiele lat był piłkarzem Hutnika–Kraków). Najważniejszym obiektem ochrony przeciwpożarowej Rafinerii była murowana trzypiętrowa Strażnica – Remiza, z przeszkloną górującą na dachu wieżyczką obserwacyjną, w której to pełnił całą dobę dyżur strażak wyposażony w niezbędny sprzęt łączności, a przede wszystkim w „guzik” do syreny alarmowej. Jako dziecko z wielkim zainteresowaniem oprowadzany przez ojca, zwidziłem tę „świątynię” strażaków. Któryż to wówczas z chłopców nie marzył skrycie o tym, aby zostać strażakiem?

Z wielkim zainteresowaniem, obejrzałem po raz pierwszy w życiu z tak bliska, a jednocześnie z tak wysoka panoramę Rafinerii, po raz pierwszy spojrzełem przez lornetkę, ale nadszedł czas powrotu na ziemię. Na górę prowadziły normalne schody. Ale środkiem, każdego z trzech pięter strażnicy, przez kwadratowy otwór w podłodze, biegła gdzieś na dół, w tajemniczą otchłań, metalowa gruba rura. Byłem bardzo ciekaw do czego ta rura służy. Zniecierpliwiony ojciec wyjaśnił, że tą „rurą” zjeżdżają do pożaru strażacy. Pokróćce objaśnił mi technikę uchwytu rękami i pojechał na dół! Mimo swego wieku sprawny fizycznie, przedwojenny zapalony członek Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, absolwent „Związkowego kursu instruktorskiego wychowania fizycznego” w Kozłówce.



Hala maszyn elektrowni parowej.



Od prawej: Rudolf Seidler - kierownik hali maszyn i warsztatów elektrycznych rafinerii, oraz pracownicy: Anton Kispert, Jan Florek, ? Michalik, ? Dziech.

Bardzo długo namawiał mnie do powtórzenia jego wyczynu. W końcu wystraszony, ale zmobilizowany udanym przykładem ojca, objąłem tę tajemniczą „rurę” jak najmocniej moimi wątłymi rączkami, zrobiłem krok w dziurę i pojechałem w tę czeluść prosto w objęcia taty.

Byłem z siebie bardzo, ale bardzo dumny, dalszą drogę w dół pokonałbym już normalnie po schodach. Ojciec widocznie coś przemyślał, bowiem zabronił mi wspominać matce o tym strażackim wyczynie.

Dzisiaj wiem, że ta „rura” nazywa się fachowo „ślizgiem”, ale strażakiem już nie zostałem.

Gdzieś po 40. latach, dokładnie w 1997 r., wylazłem ponownie na tę strażnicę obejrząc wysadzanie ostatniego kominu Rafinerii li tylko z ciekawości zawodowej. Jako sztygar strzałowy Kopalni Kłęczany trudniłem się okazjnie wysadzaniem różnych zbędnych obiektów, m. in. kominów. Wieża remizy strażackiej była doskonałym punktem obserwacyjnym. Niestety, ktoś usłużny doniósł komuś z władz ówczesnego „Limolu” i zostałem jako obcy z tej wieży widokowej wyproszony.

Obejrzałem więc koniec żywota kominu, jaki kojarzył się mimo woli z uczuciem świadka konania ostatnich resztek Rafinerii, która towarzyszyła mi przez całe życie, w gronie licznie zgromadzonych gapiów zza torów też już nieczynnej kolei transwersalnej.

## **Kotłownia, nad którą dymił komin Rafinerii**

Podróżując w czasie przez Rafinerię w Sowlinach, nie mogę zapomnieć zdarzenia z połowy lat 50-tych ubiegłego wieku. Pewnego dnia, ojciec wprowadził mnie

do kotłowni, nad którą piętrzył się niezapomniany olbrzymi komin. Wnętrze hali kotłowni swoimi rozmiarami też wzbudzało zrozumiałą respekt. Gdy nauczyłem się czytać, jeszcze przez wiele lat ten widok kojarzył mi się po lekturze kilku marynistycznych książek z maszynownią okrętowego parowca. Podczas tej niezapomnianej wizyty ujrzałem otwierane żelazne wrota do czeluści piekła paleniska kotła, skąd buchał żar i płomień, a usmoleni palacze napelniali tę nienasyconą gardziel nowymi porcjami węgla. Po jakimś czasie tę makabryczną czeluść ku mej wielkiej uldze zamknięto.

A czuwał nad tym wszystkim siedzący przy stoliku pod ścianą dowódca, obserwując jakieś wskaźniki pomiarowe.

Ale najciekawszym przyrządem, który zwrócił wówczas moją uwagę był leżący na blacie stołu przepiękny, chyba srebrny, wielki zegarek kieszonkowy.

Zauważono moje szczególne zainteresowanie tym „instrumentem nawigacyjnym”, więc właściciel tego skarbu objaśnił mi jego przeznaczenie.

Mała, gruba wskazówka uparcie wówczas stała. Gdy ta dłuższa, poruszająca się z wolna, zbliżała się do pionowej pozycji, a biegająca wokół niej szybciutko za którymś tam obiegiem pokryła się z jej pozycją, dostałem rozkaz przycisnąć czy też pociągnąć jakąś wajchę.

I stało się! Ni stąd, ni zowąd rozległ się ku memu olbrzymiemu zdziwieniu, znany mi już od kilku lat charakterystyczny dźwięk chrapliwego buczenia! Uruchomiłem syrenę fabryczną punktualnie o godzinie 14<sup>00</sup>! Moje początkowe przerażenie w moment ustąpiło uczuciom szczęścia i dumy, że otóż mnie, małego Marcuszka, słucha cała Rafineria, całe Sowliny, a też te „moje” odgłosy rozlegają się o wiele, wiele dalej. Było to olbrzymie, dziecięce przeżycie. ▶



Kotłownia (po lewej) centrum źródła energii parowej. To tu uruchamiano syrenę fabryczną.

▶ Przez dłuższy czas byłem przekonany, że ta cała hala kotłowni i wszyscy pracujący w niej ludzie służą jedynie temu celowi, aby o godzinie 6<sup>00</sup> i 14<sup>00</sup> „dawać parę w gwizdek”. Byłem też święcie przekonany, że ta bucząca syrena zainstalowana jest na szczycie komina. Ale myli się również mój szanowny kolega, twierdząc w „EL” nr 161–162 z 2008 r., że po przejściu Rafinerii przez Centralę Produktów Naftowych (CPN) opisywana wyżej kotłownia służyła do wytwarzania pary potrzebnej przede wszystkim do czyszczenia kolejowych cystern. Owszem, funkcjonowało przy Rafinerii Przedsiębiorstwo Eksploatacji Cystern (PEC), na którego zlecenie można było sobie dorobić okazjonalnie, od czasu do czasu czyszcząc wnętrza cystern.

Z moich dzieciennych złudzeń, że ta cała Rafineria służy jedynie do wydawania chrapliwych odgłosów przez wnętrza komina wyprowadził mnie ojciec, który pewnego dnia pokazał mi Elektrownię sąsiadującą z kotłownią. Ukryta była za drewnianą wieżą „chłodni kominowej”, służącej do kondensacji pary wodnej.

Trudno mi teraz, po kilkudziesięciu latach, opisać dokładnie wrażenia, jakie na mnie zrobiła.

Jak przez mgłę pamiętam jedynie błyszczące blaskiem wypucowanych, złotych i srebrzących się elementów wielkich maszyn, tak jak i całą halę lśniąca wzorową czystością.

Dopiero w późniejszych latach szkolnych zrozumiałem, że była to Elektrownia Parowa, ta cała maszynaria to były elektryczne generatory wprawiane w ruch silnikami parowymi, a źródłem tej pary była właśnie opisywana wcześniej kotłownia, w której pozwolono mi „pogwizdać” fabryczną syreną.

Elektrownia ta pracowała więc „pełną parą” jeszcze w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Od 1908 r. zasilala nie tylko wszelkie urządzenia i obiekty Rafinerii, ale dawała oświetlenie wszystkim budynkom robotniczej Kolonii, a także wybudowanym w jej pobliżu prywatnym domom. Prąd przesyłano również do Limanowej.

Dostarczała prąd identycznie jak w USA o napięciu 110 Volt.

W którym to roku ostatecznie zaprzestano produkcji energii elektrycznej w sowlińskiej Rafinerii, trudno mi teraz po latach ustalić. Pamiętam jednak rozpropagowaną akcję wymiany jednego konkretnego dnia, wszystkich żarówek na 220 Volt z okazji



Upadek ostatniego komina, symbol końca Rafinerii.

przełączenia zasilania z Sowlin na elektrownię wodną w Rożnowie. Ten fakt utrwaliła w mej pamięci charakterystyczna scena z tamtego dnia. Wieczorem, gdy nadszedł czas zapalenia świateł, przybiegła do ojca zapłakana sąsiadka pożyczyc choćby jedną tę nową żarówkę, bo w jej mieszkaniu zaległy egipskie ciemności. Nie wierzyła w „komunistyczną propagandę z tą elektryką”, a te stare żarówki „przecież tak ładnie świeciły”. Niestety do czasu! Pozostała mi w spadku pamiętająca to napięcie 110V zabytkowa, stara froterka, którą ojciec zdobył gdzieś zaraz po wojnie.

Z opowieści starszych w tamtych czasach ludzi słyszałem westchnienia jak to dzięki elektrowni Sowliny stały się centrum kulturowym. Tutaj w rafineryjnych budynkach powstało pierwsze w okolicach Limanowej początkowo jeszcze nieme kino „Marzenie”. Dojazd do kina z limanowskiego rynku w zależności od klasy najmowanego konnego wózka, z żydowskim najczęściej stangetem kosztował minimum 80 austriackich halerzy. Po odzyskaniu w roku 1918 niepodległości, założono tamże amatorski teatr „Odrodzenie”.

Niestety, likwidacja Rafinerii Nafty pociągnęła za sobą rozwiązanie dwóch towarzystw, a to kółka oświatowego „Odrodzenie” i kółka muzycznego „Echo Podhala”. Rozwiązanie wspomnianych towarzystw nastąpiło skutkiem tego, że członkowie byli przeważnie pracownikami Rafinerii.

Rafineryjna kotłownia spełniała również inną, ale ważną funkcję i to przez wiele lat, od czasu uruchomienia w 1908 r. aż do wygaszenia jej ostatniego kotła. Zapewniała gorącą wodę robotniczej łaźni. Była

ona niezbędna po pracy przy ropie naftowej i później przy rozlewaniu paliw, które do czystych nie należały. Zachowana w niezmienniej formie doczekała moich szczenięcych czasów. Jej główną część zajmowały dwa szeregi natrysków dla mężczyzn. Dla kobiet przeznaczono trzy oddzielne kabiny z wannami. Ja również korzystałem z tej łaźni, ojciec zabierał mnie popołudniami pod rafineryjne prysznice.

W soboty, pod wieczór, łaźnia była udostępniona wszystkim rodzinom pracowników, bo Kolonia robotnicza była co prawda jeszcze przez francuską spółkę zaopatrzona w bieżącą wodę i wyposażona w kanalizację, lecz pozbawiona łaźni. Jak na początek XX wieku (kiedy Rafineria została zbudowana), była to wielka cywilizacyjna zdobycz, choćby w porównaniu z sąsiednią Limanową, która na ten „wynałazek” czekała jeszcze wiele lat.

Kotłownia spełniała jeszcze jedną, co prawda uboczną funkcję. Zasilala gorącą parą wodną grzejniki centralnego ogrzewania w ważniejszych budynkach Rafinerii, a także świetlicę robotniczą. Budynki robotnicze Kolonii były tego medium pozbawione.

Na tym końcu wspomnienia o rafineryjnej kotłowni, której szkielet sterczy jeszcze w krajobrazie Sowlin, ale pozbawiony już wielkiego ceglano-kamienianego komina sprawia przynębiający obraz.

#### Fotografie: arch. albumu „Okruchy pamięci”

*Dalsze ciekawe obrazy z Rafinerii w Sowlinach - inaczej, czyli widziane oczyma dziecka w kolejnym numerze „Echa”.*

# Wystawa fotografii „Mechanik” wczoraj i dziś

Istotnie, sylwetka Tadeusza Ociepki jest głównym elementem wystawy. Wchodzących wita jego postać wycięta z powiększonej do rozmiarów naturalnych fotografii co bardzo ciepło odebrali szczególnie ci, którzy go znali. Obok eksponatów, wybranych z rozległej twórczości artystycznej dyrektora, pojawił się pamiątkowy album, dzieło Małgorzaty Palińskiej z napisem „Wspomnienie o synu Ziemi Limanowskiej, artyście i nauczycielu, Tadeuszu Ociepcu”.

„Historia szkoły i historia miasta splatają się wzajemnie” – podkreśliła Grażyna Szumilas – dyrektor szkoły. Wspomnienia o szkole, która od początku wiele znaczyła w Limanowej, to wspomnienia o ludziach, którzy ją tworzyli, często uparcie dążących do celu, wytrwałych, zmagających się z okolicznościami historycznymi, nietuzinkowych lub po prostu pracowitych, oddanych innym. Historia zatacza koło, wielu absolwentów szkoły było lub jest jej nauczycielami, wielu uczniów to dzieci tych, którzy wcześniej się tu uczyli. Ktoś powiedział, zwiedzając wystawę: „uświadomiłem sobie jak wiele osób jest z tą szkołą związanych”.

Jerzy Jurkowski przedstawił ciekawe pamiątki i dokumenty. To, co zostało z pierwszego okresu szkoły, zachowało się dzięki dbałości dyrektora Władysława Olesia. Są to spisy uczniów i uczennic, katalogi klasyfikacyjne, arkusze ocen i świadectwa, które sporządzane były inaczej niż obecnie. Na świadectwach widnieją nazwiska nauczycieli, w dokumentach pojawiają się takie określenia, jak: „spis uczni” (a nie „uczniów”), ocena za „postęp ogólny”, stwierdzenie, „uczeń ten uczynił zadość obowiązkowi uczęszczania do Szkoły Zawodowej Doksztalczącej” a nawet uwaga nauczyciela, „okropne zachowanie uczennic”. Z dalszych etapów działalności szkoły pochodzą również zachowane dzienniki lekcyjne, listy obecności, wykazy „przypadłych lekcji”, kartki z życzeniami i pozdrowieniami, udokumentowanie dyżurów nauczycieli w okresie stanu wojennego, protokół referendum przeprowadzonego w roku szkolnym 1990/1991 w sprawie patrona (rezygnacja z narzuconego przez władze w roku 1966 imienia Janka Krasickiego). Jerzy Jurkowski wybrał też do przedstawienia zdjęcia Tadeusza Ociepki ukazujące go jako dyrektora, na-

uczyciela, artystę, przypominające chwile pracy, uroczystości, odpoczynku. Wspomnił dyrektora Artura Struzika i jednego ze zmarłych uczniów, Łukasza Czaplaka. Zakończył słowami Cycerona: „*Nihil est aliud discere nisi recordari*” (**uczenie to nic innego jak przypominanie**). Jeszcze raz przypomniał, że wystawa to tylko fragment historii i nie sposób było wszystkiego na niej przedstawić.

Dyrektor Grażyna Szumilas zaprosiła do obejrzenia wystawy, zwracając uwagę, że historia szkoły to część historii szkolnictwa limanowskiego i miasta. Otwarcie wystawy było wyjątkowe. Ciepła i serdeczna atmosfera przypominała zebraniem, zarówno pracownikom jak i absolwentom, atmosferę panującą w naszej szkole. Pobudziła do wspomnień, przypominała ludzi i wydarzenia, w których zwiedzający uczestniczyli. Zatrzymywano się przy zdjęciach, rozpoznawano nauczycieli i uczniów, przeglądano kroniki. Przeważały wspomnienia radosne dotyczące nauki i czasu odpoczynku, działania różnego rodzaju kół zainteresowań, wycieczek, rajdów, spotkań towarzyskich. Byli uczniowie doceniali wkład pracy nauczycieli w kształtowanie ich postaw. Nie obeszło się jednak bez wspomnień smutnych – przypomnienia tych, którzy odeszli na zawsze, w tym niespodziewanej śmierci Tadeusza Ociepki i związanego z nią pytania: co będzie dalej?

Wystawa powstała dzięki zaangażowaniu nauczycieli: *Beaty Apryjas, Jerzego Jurkowskiego, Doroty Mamak, Kazimiery Placek*. Przedstawione zdjęcia i pamiątki pochodzą ze zbiorów archiwum szkolnego, wspomnianej już córki dyrektora Tadeusza Ociepki – Małgorzaty Palińskiej, Mariana Apryjasa, Czesława Bukowca, Tadeusza Kurosia, Tadeusza Młynarczyka, Stanisława Ociepki, Władysława Sowy, Anny i Wojciecha Struzików.

Otwarcie wystawy to pierwszy z punktów programu obchodów rocznicowych. Cały rok 2014 będzie rokiem jubileuszowym, planowanych jest wiele wydarzeń. W marcu zakończenie konkursów: literackiego, plastycznego i filmowego - ogłoszonych pod hasłem „Mechanik” dawniej i dziś. W kwietniu spotkanie z Wandą Półtawską oraz koncert z okazji kanonizacji Patrona Szkoły (30.04.14 sala LDK), 1maja Bieg Ziemi Limanowskiej, 6 czerwca XII Rajd Gwiazdzysty Szlaka-



Tablica ekspozycyjna prezentująca nauczycieli Zasadniczej Szkoły Zawodowej z lat międzywojennych.

mi Jana Pawła II, zakończenie w budynku szkoły. 30 września Powiatowy Przegląd Twórczości Jana Pawła II i Twórczości Patriotycznej pod hasłem: „Ojczyzna, kiedy myślę, szukam drogi biegnącej w każdym z nas”. 16 października 2014 r. Msza św. Jubileuszowa pod przewodnictwem Ks. Biskupa Andrzeja Jeża oraz spotkanie okolicznościowe w Limanowskim Domu Kultury.

Dyrektor Grażyna Szumilas zaprosiła do wzięcia udziału we wszystkich wydarzeniach a szczególnie w uroczystościach październikowych.

Zorganizowanie wystawy było możliwe dzięki wsparciu sponsorów: CENTRUM SZKOLEŃ RATOWNICZYCH Piotr Wyrwa; EKOPROMET Firma Produkcyjno-Handlowo-Usługowa; EMITER Stanisław Bieda, Piotr Lis; FHU PROFIT Paweł Walczak; FIS-KUZ Biuro Usług Finansowo-Księgowych Krzysztof Iwan; FOTO-NATEK Franciszek Natank; GWARANT Janusz Bugajski, Jerzy Kaim; HYDROLIM Firma Handlowo-Usługowa Wojciech Dębski; INSTAR Sp.j. Marek Czamara, Ewa Hajdyła, Jan Pytel; PAWLIMEX Przedsiębiorstwo Produkcyjno – Usługowe – Handlowe Paweł Wojak, SZUBRYT Zakłady Mięsne Zbigniew Szubryt; TIP-TOP Andrzej Biernat; WOLIMEX Przedsiębiorstwo Produkcyjno – Usługowo – Handlowe Eugeniusz Wojak.

**Fotografie: Bogdan Skrzekut**



# Biografia architekta

Andrzej Kulig

## Adama Salamona

### - po nitce do kłębka – w 90. rocznicę urodzin

O Adama Salamona zapytał mnie, w listopadzie 2013 roku, Redaktor Stanisław Ociepka, i dodał że A. Salamon był pracownikiem Politechniki Warszawskiej. Obiecałem dotrzeć do informacji na temat tej postaci. Oczywiście, natychmiast zjrzałem do opracowanej przez dr Elżbietę Wojtas-Ciborską „Księgi Limanowian”, zawierającej biografie ludzi związanych z Ziemią Limanowską, ale biogramu A. Salamona w niej nie ma. Dlatego na początku grudnia ub.r. (za zgodą Rektora) udałem się do Archiwum PW. W teczce personalnej znalazłem garść informacji biograficznych, dotyczących dorobku zawodowego A. Salamona, ale mało mówiących o człowieku.

\*\*\*

Na Wydziale Architektury PW też trudno było znaleźć jakiś ślad. W książce pt. „Katedra Architektury i Planowania Wsi Politechniki Warszawskiej – 60 lat istnienia”<sup>1</sup>, w indeksie nazwisk pracowników naukowo-dydaktycznych i technicznych, zatrudnionych w Katedrze w latach 1915-1939 i 1945-2005, znajduje się jedynie wzmianka” „*Salamon Adam, doc. dr arch. absolwent Wydziału Architektury PW, zatrudniony na WA PW pod koniec lat 60., zmarł w 1969 r.*”. W artykule St. Ociepki pt. „Uchronić od zapomnienia”, w pierwszym tegorocznym numerze „Echa Limanowskiego”<sup>2</sup>, przy nazwisku Adam Salamon znajduje się informacja – „były żołnierz Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ) z rejonu Gór Świętokrzyskich. Późniejszy inżynier architekt. Pracownik naukowy na Politechnice Gdańskiej i Politechnice Warszawskiej.” Wiedziałem już, że w rzeczywistości A. Salamon był absolwentem Politechniki Gdańskiej, ale nie pracownikiem. Zacząłem szukać dalszych informacji. Dzięki pomocy Pana St. Ociepki dotarłem do osób, które znały i pamiętają A. Salamona. Interesujące informacje przekazała Pani Krystyna Mordarska, mama mojego szkolnego kolegi, Leszka Mordarskiego. Informacje dotyczące A. Salamona z „okresu limanowskiego” przekazał jego przyjaciel z czasów szkolnych – Pan Józef Jeż, lekarz stomatologii mieszkający w Poznaniu i zarazem wujek Biskupa Tarnowskiego Andrzeja Jeża. Na koniec nie-

które zebrane informacje zweryfikował i uzupełnił mieszkający w Gdańsku syn Adama Salamona, Zbigniew.

### OKRES LIMANOWSKI

Adam Salamon urodził się 3 kwietnia 1924 roku w Sowlinach, częściowo przyłączonych do miasta Limanowa w 1933 r.<sup>3</sup>, w rodzinie robotniczej, jako syn Piotra i Rozalii z domu Ćwik. W 1936 roku ukończył Szkołę Powszechną w Sowlinach (jej budynek powstał przy udziale Wiktora Mamaka<sup>4</sup>), której kierownikiem w tym okresie był Franciszek Skoczeń<sup>5</sup>. Wraz z Józefem Jeżem rozpoczął naukę w gimnazjum im. Jana Długosza w Nowym Sączu. Jak wspomina p. J. Jeż, do szkoły wyjeżdżali pociągiem „robotniczym” ok. 5<sup>30</sup>, a do domu wracali późnym popołudniem. Ukończyli 3 klasy gimnazjum, ale nie uzyskali małej matury, ponieważ w 1939 r. II wojna światowa przerwała ich naukę. A. Salamon zdał małą maturę już podczas wojny, w trybie tajnego nauczania.

W 1939 r. piętnastoletni Adam ochotniczo walczył w Batalionie Obrony Narodowej 1. Pułku Strzelców Podhalańskich. Podczas okupacji niemieckiej, w latach 1940-42, pracował jako robotnik w garbarni i rafinerii ropy w Limanowej, chroniąc się w ten sposób przed represjami okupanta za udział w kampanii wrześniowej 1939 r. W następnych latach okupacji prowadził bogatą działalność w konspiracji. W 1943 r. poszedł „do lasu”, jak wtedy mówiło się o podjęciu walki z okupantem.



Adam Salamon (1924-1969)

Do połowy stycznia 1945 r., czyli do momentu ofensywy wojsk radzieckich, brał czynny udział w walkach, w składzie jednej z czterech kompanii Samodzielnego Partyzanckiego Baonu Szturmowego „Suszarnia” 106. Dywizji Piechoty Armii Krajowej, w rejonie Miechowa, a następnie Gór Świętokrzyskich. Dwukrotnie był ranny. W sierpniu 1944 roku jego oddział próbował przebić się do stolicy, aby wziąć udział w Powstaniu Warszawskim, ale nic z tego nie wyszło. Po zakończeniu wojny A. Salamon zdał broń, a ponieważ był szeregowym żołnierzem, ominęły go represje. W partyzantce walczył pod dowództwem Antoniego Iglewskiego, cichociemnego, pseudonim „Ponar” (<http://muzeumhw.pl/>). W 1948 roku władza ludowa przypominała sobie o byłym partyzancie i „człowieku z Londynu”. „Ponar” został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. Według informacji Zbigniewa Salamona, jego ojciec pomógł rodzinie byłego dowódcy z AK. W latach 50., gdy mieszkali już w Warszawie,



Przed budynkiem Liceum w Sowlinach. Klasa matematyczno-fizyczna, matura 1946 rok. Stoją od lewej: Jacek Odziomek, Tadeusz Arnold, Kazimierz Czaja, Krystyna Bączkowska, **Adam Salamon** (w okularach), prof. Józef Bednarz (wychowawca), Jan Kądziąłka, Józef Jeż, Jan Sarad, Jerzy Trzeciak, Piotr Łaskuda.



W sadzie Piotra Salamona, ojca Adama. Obecnie w tym miejscu znajduje się Szpital Powiatowy w Limanowej. Siedzą od lewej: Piotr Salamon, Barbara Harassek-Szewczyk (kuzynka Marii Salamona), Maria (żona Adama) z domu Wolakówna, Kazimierz Harassek (mąż Barbary), ??.

zadbał o obronę prawną „Ponara” w czasie procesu oraz o opiekę nad jego matką, która jakiś czas mieszkała z rodziną Salamonów w Warszawie.

Bezpośrednio po wyzwoleniu, w 1945 roku A. Salamon został przyjęty do Liceum w Sowlinach, do klasy maturalnej o profilu matematyczno-fizycznym. Wychowawcą klasy był profesor Józef Bednarz, nauczyciel matematyki i fizyki oraz szachista. W tym okresie A. Salamon grał na trąbce i występował w zespole muzycznym. Na zdjęciu klasy maturalnej w „Echu Limanowskim” (2, str. 27) stoi z trąbką pod pachą. Obok z gitarą stoi Jan Seruga i siedzi Jacek Odziomek, a pomiędzy Jerzym Trzeciakiem i Józefem Jeżem stoi z akordeonem Krystyna Wojs (po mężu

Mordarska). W 1946 roku ukończył Liceum w Limanowej i zdał maturę. Do matury przygotowała go starsza o kilka lat przyrodnia siostra Anna Zelek, z którą Adam utrzymywał bliski kontakt także podczas jej pobytu na Wybrzeżu, a później w Krakowie. Kolegą Adama z czasów szkolnych był także uczący się w Liceum Pedagogicznym Adam Wojs, brat p. Krystyny Mordarskiej.

Po maturze drogi kolegów szkolnych rozeszły się. Adam Salamon wraz z Jerzym Trzeciakiem (lwowianinem, którego ciotką była spokrewniona z rodziną Marsów Róża Pik <sup>6</sup>) wyjechał do Gdańska na studia. A Józef Jeż pojechał do Wrocławia, ponieważ miał zdawać na Politechnikę Wrocławską. Przez dwa tygodnie J. Jeż mieszkał u inż. Wiktora Mamaka (późniejszego profesora Politechniki Warszawskiej i Dziekana Wydziału Budownictwa Wodnego), który po wojnie pracował jako wykładowca na Wydziale Budownictwa Politechniki Wrocławskiej. Ostatecznie J. Jeż udał się do Poznania na studia medyczne. Adam z Józefem nigdy się już nie spotkali, a jedynie raz rozmawiali telefonicznie, kiedy Adam był w Poznaniu z wykładem.

Związki Adama Salamona z Limanową trwały przez całe życie. Jego rodzina przyjaźniła się z rodziną Krystyny i Ludwika Mordarskich oraz z seniorem rodziny Wojsów, p. Józefem, który używał im dom w Nowym Sączu podczas wakacyjnych pobytów w rodzinnych stronach. Łączyły ich m.in. zainteresowania mu-

zyczne. A. Salamon grywał na trąbce z zespołem „Bracia Mordarscy”.

Architekt A. Salamon przyczynił się do opracowania i realizacji projektu regulacji Potoku Starowiejskiego i rzeki Sowlina, „lobbując” w tej sprawie w urzędach centralnych w Warszawie. Na początku lat 60. ub. stulecia rozpoczęto też projektowanie nowego szpitala, który zbudowano w Sowlinach na części działki, odziedziczonej przez A. Salamona i jego przyrodnią siostrę Annę Zelek po śmierci ojca, Piotra Salamona.

A. Salamon poznał w Limanowej o kilka lat młodszą Marię Wolakówną (siostrzenicę Marii Grubarczyk, żony dra Stanisława Alojzego Nowaka, starosty limanowskiego w latach 1937-1939), która jako uciekinierka z rodzinnego Lwowa część okupacji spędziła w Limanowej. Państwo Wolakowie z całą rodziną mieszkali u Państwa Bujaków, sąsiadów rodziny Mordarskich. Adam ożenił się z Marią w 1951 roku. Mieli dwóch synów: Zbigniewa i Lecha.

## OKRES GDAŃSKI

Jakkolwiek ta historia ma coś z książek Wydawnictwa Harlequin, to należy wspomnieć, że zdaniem Zbigniewa Salamona, decyzję ojca o podjęciu studiów w Gdańsku spowodował wyjazd Marii Wolakówny do tego miasta. Jej ojciec, Stanisław Wolak, późniejszy teść A. Salamona, był przed wojną we Lwowie przedstawicielem General Motors (dzisiaj powiedzielibyśmy - dealerem samochodowym). ▶



W Nowym Sączu - 1962 rok. Od prawej: Adam Salamon, p. Wieczorkowska, Stanisław Jawor, Józef Wojs. Z przodu Zbigniew Salamon, syn Adama (ze zbioru Krystyny Mordarskiej).



Orkiestra Grand Hotel Sopot. Przy kontrabasie Adam Salamon.

► Bardzo często odbierał w przedwojennej Gdyni samochody przysyłane z fabryki w Ameryce, więc znał Gdynię i Gdańsk z lat 30. ub. wieku. Motywacją ich wyjazdu na Wybrzeże mogła być także astma Janusza, młodszego brata Marii. Przed wojną St. Wolak był też piłkarzem Pogoni Lwów i grał razem z legendą polskiego sportu, znakomitym sportowcem, Wacławem Kucharem. Dziadek Zb. Salamona, przy okazji odwiedzin rodziny A. Salamona w okresie „warszawskim”, spotkał się po wojnie z W. Kucharem w Warszawie, gdy ten był trenerem młodzieży w Legii Warszawa.

Bezpośrednio po maturze Adam Salamon zdał wstępny egzamin konkursowy na Politechnikę Gdańską – Wydział Architektury. Mieszkał z kolegą na stacji (prawdopodobnie u rodziny Reymanów, związanej z Limanową<sup>7)</sup>, a potem w domu akademickim. Jako student dorabiał na życie, grając w jednej z pierwszych orkiestr estradowych na Wybrzeżu. Stałym miejscem występów muzyków był legendarny orbisowski Grand Hotel w Sopocie. W latach 1948-1951 orkiestrę prowadził Henryk Hubertus Jabłoński, kompozytor m.in. powojennych przebojów „Pierwszy siwy włos” i „Zachodni wiatr”.

Podczas studiów A. Salamon pracował w latach 1947-1949 przy odbudowie zniszczonego portu w Gdyni, w charakterze kierownika budowy w Spółdzielni Budowlanej „Odbudowa”. W tym okresie prowadził następujące budowy: Stacja Pasów Ratunkowych (budowa nowa Gdynia), odbudowa zniszczonych magazynów przeladunkowych w strefie wolnocłowej Gdynia

- Port, remont torów jezdnych (łącznie ponad 3 km) dla dźwigów portalowych (bramowych) przy nabrzeżu „Rotterdamskim” i nabrzeżu „Stanów Zjednoczonych”. Na przełomie 1949-1950 pracował w Spółcznym Przedsiębiorstwie Budowlanym (SPB) w Gdyni przy budowie nowej chłodni rybnej i budynku administracyjnego (Basen Rybacki) w charakterze zastępcy kierownika budowy. W czerwcu 1950 r. zwolnił się z SPB na własną prośbę, w celu ukończenia studiów i podjęcia pracy dyplomowej. Zmuszony sytuacją materialną, już w dniu 11 lipca 1950 r. zaangażował się do pracy w Centralnym Biurze Projektów Budownictwa Wiejskiego (CBPBW) – Oddział w Gdańsku, gdzie pracował kolejno na stanowisku projektanta, a następnie starszego projektanta do listopada 1952 r. Dyplom ukończenia studiów magisterskich w specjalizacji: budowa nabrzeży i portów uzyskał dnia 17 marca 1951 r. Po otrzymaniu dyplomu był oddelegowany służbowo na stanowisko kierownika ekspozytury CBPBW w Bydgoszczy. Po okresie roku, w wyniku zlikwidowania ww. filii, powrócił do Oddziału Gdańskiego na dawne stanowisko.

## OKRES WARSZAWSKI

W listopadzie 1952 roku został służbowo przeniesiony do Oddziału Warszawskiego CBPBW (w 1956 r. zmieniono nazwę biura na: Wojewódzkie Biuro Projektów Budownictwa Wiejskiego), gdzie był zatrudniony do 28 lutego 1965 r. kolejno na stanowiskach: główny inżynier, kierownik działu, kierownik pracowni, starszy projektant. Pracował w zespole pro-

jektowym, zajmującym się projektowaniem dużych przetwórnictw rolno-spożywczych. Jednym z jego projektów była przetwórnica drobiu w Siedlcach, która funkcjonuje do dzisiaj. Niezależnie od pracy w Biurze, od 1954 do 1964 współpracował naukowo z Katedrą Technologii Prefabrykatów i Betonu Sprężonego Politechniki Warszawskiej (PW) przy opracowaniu zagadnień dotyczących budownictwa wiejskiego. W latach 1960-64 podjął na Wydziale Inżynierii Budowlanej PW realizację pracy doktorskiej na temat: „Zagadnienia kompleksowej realizacji budownictwa wiejskiego, ze szczególnym uwzględnieniem zastosowania konstrukcyjnych elementów strunobetonowych”. Pracę, której promotorem był prof. dr Franciszek Piaścik, obronił w dniu 24 czerwca 1964 r.

Co zdecydowało o naukowej karierze A. Salamona? Według syna Zbigniewa, w 1959 roku posiadającej obywatelstwo amerykańskie siostrze Adama, Annie Zelek, udało się wyjechać na stałe do USA. Natychmiast podjęła starania o ściągnięcie brata Adama wraz z rodziną. W 1962 roku rodzina otrzymała zgodę na wyjazd. Taki obrót rzeczy spowodował wyprzedzając wszystkich dóbr oraz likwidację mieszkania w Warszawie. W pierwszej kolejności paszporty emigracyjne oraz wizy amerykańskie otrzymała żona Maria i dwaj synowie. A. Salamon miał otrzymać paszport na tydzień przed wyjazdem. Kiedy zgłosił się po odbiór paszportu do Pałacu



Adam Salamon w czasie sesji wyjazdowej Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej - 1965 rok.

Mostowskich w Warszawie, siedziby Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej, usłyszał, że rodzina może jechać, ale on wykształcił się w Polsce Ludowej i musi to dla Polski Ludowej odpracować. Postanowił więc, że trzeba rozpocząć urządzenie rodziny od nowa i zaczął „odpracowywanie” wykształcenia na drodze naukowej.

Od 1 marca 1965 r. został przeniesiony służbowo do Instytutu Techniki Budowlanej (ITB) w Warszawie, gdzie pracował w Zakładzie Budownictwa Wiejskiego na stanowisku Kierownika Pracowni TW-5. W tym okresie był mocno zaangażowany w badania naukowe nad strunobetonem, których efektem były także patenty. Adam Salamon jest współautorem dwóch patentów i jednego wzoru użytkowego z dziedziny uprzemysłowionych metod realizacji budynków. Wraz z Włodzimierzem Hładyniukiem i Henrykiem Olszewskim jest współautorem patentu o nazwie „Płyta ścienna i stropowa” (jest to płyta trójwarstwowa, w której dwie warstwy stanowią płyty żebrowane, między którymi umieszczona jest płyta izolacyjna, a między nimi znajduje się pustka powietrzna). Patenty te natychmiast znalazły zastosowanie przy budowie obiektów wojskowych, co z kolei spowodowało, że A. Salamon został doradcą Sztabu Generalnego w tym zakresie.

Na wniosek Rady Naukowej ITB oraz po jego pozytywnym zaopiniowaniu przez Polską Akademię Nauk, w wyniku przedstawienia swojego dorobku naukowego, z dniem 1 stycznia 1967 r. dr inż. A. Salamon został powołany przez Ministra Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych na stanowisko samodzielnego pracownika naukowo-badawczego w ITB w Warszawie. Stopień docenta uzyskał na podstawie pracy habilitacyjnej pt. „*Prefabrykacja w budownictwie wiejskim*” (ITB, Zakład Budownictwa Wiejskiego) na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej w dniu 4 lipca 1967 roku. Z dniem 1 października 1968 r. na wniosek prof. Fr. Piaścika został przeniesiony z ITB do pracy na Wydziale Architektury PW, gdzie zgodnie z uchwałą Rady Wydziału objął kierownictwo Studium Podyplomowego Architektury i Planowania Wsi.

Dr inż. arch. Adam Salamon posiadał uprawnienia budowlane nr. ew. 2565/58 (z art. 361<sup>8</sup>). W jego dorobku zawodowym są realizacje ok. 5 mln. metrów sześciennych budynków o różnej tematy-



Adam Salamon z żoną Marią i synem Zbigniewem na spacerze w Warszawie.

ce, przeważnie wiejskiej, w tym przeszło 250 tys. m<sup>3</sup> o konstrukcji z drobnowymiarowych elementów strunobetonowych. Społecznie pracował w SARP (członek Prezydium Zarządu Głównego w kadencji 1965-67) oraz w Komitecie Budownictwa Wiejskiego PZITB. Równocześnie był sekretarzem naukowym Sekcji Architektury i Planowania Wsi – Komitetu Architektury i Urbanistyki PAN.

Pod koniec 1968 roku doc. dr hab. inż. arch. Adam Salamon posiadał w dorobku naukowym 62 opracowania na tematy architektury i budownictwa wiejskiego, w tym 7 publikacji książkowych (o objętości 16-40 arkuszy wydawniczych każda). M.in. był współautorem (pięciu z dziesięciu rozdziałów) książki pt. „*Współczesne budownictwo rolnicze. Uprzemysłowienie, projektowanie i realizacja budynków*” (Arkady, wyd. 1968 r.). Publikował także w czasopiśmie naukowo-technicznych, np. w „*Budownictwo Wiejskie*”, „*Informator Projektanta Budownictwa Wiejskiego*” i „*Architektura*”.

Za pracę zawodową w zakresie projektowania architektonicznego i realizacji projektów 4-krotnie otrzymał nagrody II i III stopnia oraz 7-krotnie nagrody Ministra Budownictwa za nowatorskie i postępowe rozwiązania projektowe i realizacje. Otrzymał także 11 nagród i wyróżnień w konkursach SARP, zarówno ogólnokrajowych, jak i zamkniętych (indywidualne i zespołowe), o różnej tematyce architektonicznej.

Otrzymał następujące odznaczenia: Krzyż Walecznych (1944), Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami (1944), Brązowy Krzyż Zasługi (1945), Krzyż Partyzancki (1957) i Złoty Krzyż Zasługi (1957). Był członkiem zwyczajnym ZBOWiD – Oddział Warszawski – Starówka.

Doc. dr inż. arch. Adam Salamon zmarł przedwcześnie, w wieku 45 lat, w wyniku rozległego zawału serca, 4 lipca 1969 roku. Został pochowany w Warszawie na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Kwaterze Żołnierzy AK i Powstania Warszawskiego.

Jakim człowiekiem był Adam Salamon? Przez wszystkich, którzy go pamiętają prywatnie, jest wspomniany jako pogodny „kabareciarz”, który grał na trąbce i występował w orkiestrze. Dobrze znał język niemiecki, słabiej angielski i rosyjski. Jak wynika z przedstawionej biografii, A. Salamon jest „autorem” interesującego życiorysu, w którym talenty i pracowitość, mimo trudnych czasów i krótkiego życia, pozwoliły mu wiele osiągnąć.

**Serdecznie dziękuję Panu Zbigniewowi Salamonowi, synowi architekta, za przekazane informacje i zdjęcia oraz Pani Krystynie Mordarskiej i Panu Józefowi Jeżowi za pomoc w ustaleniu faktów z życia i działalności zawodowej docenta A. Salamona.**

**prof. nzw. dr hab. inż.  
Andrzej KULIG**

<sup>1</sup> Wiśniewska M., Wiśniewski J. (2006): *Katedra Architektury i Planowania Wsi Politechniki Warszawskiej – 60 lat istnienia*. Oficyna Wydawnicza Politechniki Warszawskiej. Warszawa.

<sup>2</sup> Ociepka St. (2014): *Uchronić od zapomnienia*. „EL” Nr 232-233. Rok XXII, styczeń-luty, s. 26-29.

<sup>3</sup> Rozporządzenie Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 14 października 1933 r. o zmianie granic miasta Limanowej w powiecie limanowskim, województwie krakowskim (Dz.U. z 1933 nr 81 poz. 593) ogłoszone w dwutygodniku Związku Miast Polskich „Samorząd Miejski” nr 21 w dniu 1 listopada 1933 r.

<sup>4</sup> Kulig A. (2012): *Profesor Wiktor Józef Mamak – wybitny w dziedzinie budowy dróg wodnych i regulacji rzek*. „EL” Nr 210-211, Rok XX, marzec-kwiecień, s. 36-39, 43.

<sup>5</sup> Wojtas-Ciborska E. (2006): *Księga Limanowian. Biografie ludzi związanych z Ziemią Limanowską*. s. 546. Limanowa.

<sup>6</sup> Kulig A. (2012): *Z kart historii starowiejskiego dworu i limanowskiego ogrodu. Okres przedwojenny – dzieje rodziny Marsów*. „EL” Nr 218-219, Rok XX, listopad-grudzień, 36-39, 43.

<sup>7</sup> Pilawski L. (2013): *Okupacyjne losy rodziny Reymanów – uzupełnienie*. „EL” Nr 226-227. XXI, lipiec-sierpień, s. 20-21.

<sup>8</sup> Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 16 lutego 1928 r. o prawie budowlanem i zabudowaniu osiedli (Dz.U. z 1928 nr 23 poz. 202).

# Ulica Joachima Rupniowskiego

W swych historyczno – biograficznych wędrówkach po ulicach Limanowej dotarliśmy do Łososiny Górnej. To dawniej samodzielna miejscowość starsza od Limanowej (pierwsza historyczna wzmianka z 1326 r.), w ostatnich latach w części włączona w granice miasta, wraz z kościołem, szkołami, zakładami przemysłowo – usługowymi.

Wraz z tym Łososina wniosła miastu swą ciekawą przeszłość, z którą obiecujemy systematycznie Czytelników „Echa” zapoznać. Rozpoczynając, zapraszamy na spacer ulicą noszącą imię Joachima Łukasza Rupniowskiego. Opowiemy krótko nie tylko o patronie, ale o czasach, w których żył i arianach – ruchu społeczno – religijnym, którego Rupniowski jest przedstawicielem.

W 1517 r. niemiecki teolog Marcin Luter (1483-1546) na drzwiach katedry w Wittenberdze, przypiął dziewięćdziesiąt pięć tez, nawołując do reformy kościoła. Ten symboliczny gest, wsparty później wystąpieniami szwajcarskiego reformatora – Jana Kalwina (1509-1564), zapoczątkował okres wielkiej reformacji religijnej, która ogarnęła całą zachodnią Europę. Jej widocznym do dnia dzisiejszego efektem było wyłonienie się z Kościoła rzymsko – katolickiego nowych kościołów reformowanych – luteranckiego, kalwińskiego, ewangelickiego, arianckiego i innych.

Rzecz jasna, iż reformacja religijna nie ominęła Polski. Sprzyjał temu znany powszechnie fakt wielkiej tolerancji religijnej panujący w Rzeczypospolitej. Luteranizm przyjmowały zazwyczaj duże miasta, zwłaszcza położone na północy kraju, wśród szlachty względami cieszył się kalwinizm, na który przeszła m. in. jedna gałąź potężnego rodu Radziwiłłów. Drobnomieszczaństwo i chłopi z zasady pozostawali przy dawnej wierze.

W latach 1562-65 z kościoła kalwińskiego wyłonił się odłam „Braci Polskich”. Nie wdając się w drobne rozważania teologiczne stwierdzimy, iż głównym powodem powstania Braci Polskich było nie uznanie dogmatu o Trójcy świętej. Upodobnili się w tym do schizmy, jaka powstała w Kościele w pierwszych wiekach jego istnienia, a które wywołał reformator religijny o imieniu Ariusz. Posłużyło to adwersarzom do nazwania nowego ruchu „Arianami”, co powszechnie się przyjęło w całej Polsce. Oprócz

tego arian odróżniały od innych bardzo postępowe jak na ówczesne czasy normy moralno – społeczne, m. in. zakaz udziału w wojnach, zniesienie kary śmierci, wyzbycie się majątków, zniesienie pańszczyzny oraz pełnienie urzędów publicznych.

Najważniejszym ośrodkiem arian w Polsce był, położony w dzisiejszym województwie świętokrzyskim, Raków. Tu działała słynna na całą Europę Akademia Rakowska, wielka drukarnia, tu także tradycyjnie odbywały się synody uchwalające zarówno doktryny natury teologicznej jak również normy moralne, którymi mieli kierować się wyznawcy arianizmu. Dla naszych stron ważniejszym było jednak istnienie zboru arianckiego w Lusławicach – niewielkiej wsi w dzisiejszej gminie Zakliczyn, (pow. tarnowski). Skupiający elitę umysłową małopolskich arian zbor oraz duża, przeniesiona tu z Pińczowa drukarnia uczyniły z tej niewielkiej miejscowości ważny ośrodek kulturalno – religijny. Dodajmy, iż Lutosławice mają chyba przysłowiowe szczęście w brylowaniu – współcześnie osiadł tam bowiem słynny polski kompozytor Krzysztof Penderecki, powołując tu Europejskie Centrum Muzyki.

Duża drukarnia dzieł arian istniała również w Nowym Sączu, a mniejsza w Łukowicy, niektóre przekazy lokalizują istnienie takiej drukarni w Ilmanowej – czyli dzisiaj Limanowej.

Szczególnie zagorzałymi wyznawcami i propagatorami arianizmu stała się szlachta historycznej Sądectczyzny, w skład którego wchodziła również wschodnia część dzisiejszego powiatu limanowskiego.

Byli wśród nich Kszeszowie z Męciny, Wirzbiętowie z Przyszowej i Rogowscy ze Świdnika. Sprofanowane zostały kościoły w Męcynie, Chomranicach, Przyszowej, Kaninie, Łukowicy, Łososinie Górnej. Wypędzono z nich katolickich proboszczów, zabierając im również gospodarzo należną dziesięcinę i inne dochody. W kręgu zainteresowania arian była również Ilmanowa, o czym świadczą nie tylko przekazy o działającej tu drukarni dzieł innowierczych, ale znana z wielu późniejszych zapisów legenda o złej dziedzicze – ariance. Jej pochówek na limanowskim cmentarzu doprowadzić miał do wielkiej powodzi, która ustała dopiero wówczas, gdy wezbrana woda wypłukała i zabrała z nurtem jej trumnę. Pospolicie nie wdając się w teologiczne różnice, wszystkich innowierców zwano „lutrami” lub „kalwinami”. To drugie określenie na limanowskich wsiach przetrwało do dnia dzisiejszego i jeszcze nie raz słyszałem słowo „kalwin” określające niedowiarka religijnego, bądź też człowieka złego. Tu wymownym przykładem jest zanotowany fragment z kołędniczego monologu, jaki wygłasza śmierć ścinająca głowę znenawidzonego Heroda: *Ty Kalwinie, ty Hitlerze, zaraz diabeł cię zabierze.*

Kres działalności arian w całej Polsce dała ustawa sejmowa z 1658r., nakazująca wszystkim innowiercom pod karą śmierci opuszczenie granic Rzeczypospolitej, bądź też powrót do poprzedniego wyznania. Ta bardzo rygorystyczna uchwała doprowadziła do tego, iż – przynajmniej w naszych stronach, arianie porzucają swe poglądy, powracając na łono kościoła rzymsko – katolickiego. Materialnie uwidacznia się to poprzez odbudowę lub też pomoc w odbudowie zajmowanych kościołów parafialnych, do których powrócili proboszczowie. W Polsce, a więc również na naszych terenach kończy się okres zwany „reformacją” religijną. Historycy oceniają ten czas pozytywnie, szczególnie jeśli idzie o rozwój piśmiennictwa narodowego. Wśród najważniejszych poetów polskie-





Zabytkowy kościół w Łososinie Górnej wzniesiony w drugiej połowie XV wieku - konsekrowany w 1491 roku, sprofanowany i zrujnowany przez arian, odbudowany w obecnym kształcie w drugiej połowie XVII wieku.

go baroku są bowiem najwybitniejsi poeci tej epoki; bracia Andrzej (ok. 1613- 1693) i Zbigniew (ok. 1628 – 1689) Morsztynowie oraz Wacław Potocki (1621- 1696). Jest wśród nich również patron limanowskiej ulicy – Joachim Łukasz Rupniowski (1590- 1641).

Zagorzałymi arianami była szlachecka rodzina Rupniowskich z Rupniowa. Wywodzili się oni z rycerskiego rodu pieczętującego się herbem „Drużyna”, którym pieczętowali się też Słupscy – pierwsi znani nam historyczni właściciele Łososiny Górnej i Ilmanowej – czyli dzisiejszej Limanowej. Rupniowscy, którzy drogą licznych koligacji rodzinnych doszli do znacznej majątności i znaczenia, po przejściu na arianizm, sprofanowali kościół parafialny w Łososinie Górnej, którego byli prawnymi kolatorami i opiekunami. Katolicki proboszcz musiał opuścić plebanię, zabrano mu też gospodarstwo i należną dotąd prawem dziesięcinę ze wsi Zbydniów. W ruinę poszedł wzniesiony u schyłku XV wieku (konsekrowany w 1491 r.) pod wezwaniem śś. Zofii, Anny, Katarzyny, Mateusza i wszystkich świętych łososiński kościół.

Powracający po ustaniu reformacji proboszcz łososiński, ks. Piotr Łącki, zanotował w księgach parafialnych w 1615 roku: *Gdym plebanią przejął łososińską, zastałem plebanią desolatą (zdeprawowaną, spustoszoną) rozebraną, obory, stodoły, stajnie, spichlerz, szkołę na wsi – wszystko zniszczone.*

## Pamięci Walentego Smalcjusza

Gdzieś duch twój przeraźliwy, kędy wdzięczne słowa,  
 Gdzie poważna, budowna i nabożna mowa,  
 Cny Smalcy? Wszytkoć w jedną śmierć godzinę wzięła,  
 A nas, co cię nie mamy, żalność ciężka zdjęła.  
 Przed czasem-eś ustąpił. Co w tym jest za rada  
 Największego! Czy jeszcze karania gromada  
 Cięższego ma nastąpić na złe żywe syny,  
 Iż tych, co w oczach naszych zdali się bez winy,  
 Bierze Bóg, by wiedzieli, iż surowej ręki  
 Odporni ani ujdą, lecz piekielnej męki  
 Jeszcze wyglądać mają? Czyli też w twej sprawie  
 Było co gańby godno, co by nie ku sławie  
 Prawdy tej należało, którą obwoływał?  
 Czyliś dobrego mienia w chciwości nabywał?  
 Zostały zbiory twoje, śmierć cię rozłączyła  
 I z dostatkim, i z dziećmi. Tych rozweseliła,  
 Którzy mniemają, żeby na tobie wisiąca  
 Moc wszystka prawdy Bożej, która będzie miała  
 Przecie swe promotory, choć ciebie nie stało.  
 Umie Pan znaleźć sługi i ma ich niemało!  
 Tyś szczęśliwy, jeśli cię Pan do łaski przyjął,  
 Choć cię z pośrodka żywym chwalców swoich wyjął.  
 Nam przystoi ostrożnie żyć przed swoim Panem,  
 By nas miał tu i wiecznie swym ludem kochanem.

*Oryginalna pisownia wiersza z XVII wieku.*

Jedyny zachowany wiersz Joachima Łukasza Rupniowskiego. I tom „Poeci polskiego baroku”, PIW 1965 r.

Energiczny proboszcz szybko jednak zabiera się do roboty, podnosi z gruntów gospodarstwo, urządza zaniedbany w czasie reformacji cmentarz katolicki, o czym wspomina w kronice następującymi słowami: *Bacząc szkoda wielka, że psy nosiły kości ludzkie, dałem pod zwnonicą (dzwonnica) grób wybrać i pochowałem.*

Przede wszystkim odnawia i przebudowuje łososiński kościół, nadając mu dzisiejszy wygląd.

Jak już wspomniałem wcześniej, w historii literatury polskiej szczególnie miejsce zajmuje pochodzący z Rupniowa arianin Joachim Łukasz Rupniowski, poeta barokowy, piastujący wysokie funkcje w hierarchii ariańskiej. Był kolejno ministrem zborów w Lublinie, Rakowie, w Lachowicach, w Berezku, gdzie był rektorem szkoły ariańskiej. Ożenił się z Elżbietą Lubieniecką, córką Andrzeja. Miał z nią córkę Aleksandrę (późniejszą żonę Andrzeja Wiszowatego – filozof, teolog, kaznodzieja ariański, poeta, redaktor, wydawca) i syna Andrzeja. Rupniowski był histogramem zborowym. Od roku 1628 spisywał ariańskie akta synodalne, które zaginęły. Z jego twórczości poetyckiej do naszych czasów niewiele pozostało, zaginął rękopis słynnego poematu „Sen o zagładzie Rakowa”, przypadły również teksty kazań. Znamy tylko tekst jednego niewielkiego wiersza, który poświęcony jest postaci Walentego Smalcjusza. Zmarł w Lachowicach i tam też został pochowany.

# Teatr i Chór Włościański w Limanowej

Zofia Wiśniewska



Grupa członków Teatru i Chóru Włościańskiego w Limanowej w 1913 roku, po odegraniu sztuki „Zrękowiny u Druzgały”. Od lewej: Franciszek Biedroń „spod dworu w Mordarce”, Stefania Dąbrowska, Jan Biernat ze Starej Wsi, Katarzyna Gawron, Walenty Gawron, Walenty Kądziółka z Mordarki, Andrzej Postrozny, Rozalia Gawron.

Tradycja organizowania życia teatralnego w Limanowej sięga 1869 roku. Wtedy to najbardziej wpływowi obywatele limanowskiego grodu, a to: Józef Mars - właściciel ziemski, Karol Stahlberger - sekretarz Rady Powiatowej i Antoni Szczeptański - naczelnik Sądu wystąpili z propozycją utworzenia teatralnego zespołu amatorskiego. Inicjatywa została przyjęta entuzjastycznie i wnet powstał zespół liczący początkowo 21 osób. W jego skład wchodziły głównie panie z okolicznych dworów i nielicznej inteligencji miejscowej.

Na cele teatralne Józef Mars przekazał piętro starej gorzelni, gdzie utworzono salę balową i widowiskową dla 200 osób, a także przygotowano zaplecze teatralne i kuchenne. Nakładem fundatora zakupiono ławy dla widzów, a dla szczególnie zacnych gości wykonano łoża.

Przygrywająca orkiestra sprowadzana przeważnie z Nowego Sącza lub Królówki (pow. bocheński) zajmowała miejsce na specjalnie wybudowanej estradzie.

Barwna kurtyna pozwalała na niewiadcą zmianę dekoracji. Potrzebne, a trudne do wykonania rekwizyty wypożyczano z teatru w Krakowie, podobnie jak kreacje dla aktorów. Premierę uświetnił dyrektor krakowskiego teatru oraz rodziny właścicieli dóbr, które przybyły w reprezentacyjnych karocach. Każdy występ kończył się balem, a zebrane za wstępy pieniądze przeznaczano na zapomogi dla kształcących się poza Limanową rzemieślników. Warunkiem uzyskania zapomogi było podpisanie zobowiązania, że delikwent po zdobyciu zawodu wróci do miasta.

Podjęmowany repertuar wysokiego lotu, nie był przeznaczony dla potrzeb ludu.

Początkowo teatr rozwijał się dobrze. W ciągu krótkiego czasu wystawiono 10 sztuk, ale po 1871 roku zapal ostygł, przedstawienia odbywały się nieregularnie i nie budziły już takiego zainteresowania.

Najdłużej w pamięci mieszkańców pozostały „Jasełka” wyreżyserowane w 1892 r. przez J. Sikorę.

W późniejszym czasie uzyskane z wstępów pieniądze przeznaczano na budowę gmachu „Sokoła”. Wtedy też powstawał inny obiekt, a mianowicie Towarzystwo „Przyjaźń” wznosiło własnym nakładem budynek, w którym w 1898 r. wystawiło pierwszą sztukę „dla ludu”. Radość z tego powodu była ogromna. Powtarzano ją wiele razy i prawdopodobnie pod wpływem panujących emocji niestrudzony społecznik, założyciel Koła Towarzystwa Szkoły Ludowej i pierwszej biblioteki publicznej utworzonej z książek darczyńców - Józef Bek (ojciec przyszłego ministra) poddał pomysł założenia włościańskiego zespołu teatralnego.

Zwrócił się z nim do młodych, energicznych działaczy ludowych, którym przewodzili - Walenty Gawron, syn znanego starowiejskiego wójta Jana Gawrona i Walenty Sułkowski z Mordarki.

Obydwaj zapaleni postanowili zainteresować sprawą miejscową ludność (zwłaszcza młodzież) i w tym celu spro-

wadzili z Jodłownika Teatr i Chór Włościański, który 8 maja 1910 r. w sali „Sokoła” zaprezentował trzy ciekawe inscenizacje, a to: „Cudowny doktor”, „Gorzałka” i „Kumoszki”.

Bezpośrednio po przedstawieniu odbyło się zebranie organizacyjne, na którym utworzono także sam Teatr i Chór Włościański. Powołano też zarząd tego Stowarzyszenia i jego członkom przydzielono odpowiednie funkcje.

Prezesem został Izidor Gibas - sędzia, właściciel dworu w Mordarce, jego zastępcą - Andrzej Postrożny ze Starej Wsi. Funkcję skarbnika powierzono Walentemu Gawronowi również ze Starej Wsi. Walenty Sułkowski z Mordarki miał być sekretarzem.

Pomysłodawca Józef Bek (sekretarz Rady Powiatowej) przyjął dozór nad całością. Trudnej sztuki reżyserowania podjął się Teofil Szumański, późniejszy kierownik szkoły. Za pracę chóru i dobór dla niego repertuaru przyjął odpowiedzialność Józef Kiwalla.

Dzięki energii i sile przekonywania Walentego Gawrona do zespołu i chóru przystąpiło 157 osób (dziewcząt i chłopców) i opłacało składki w wysokości 10 halerzy miesięcznie. Halerz - to dawna drobna moneta, setna część austriackiej korony, ale wysupłanie jej w wielu domach było bardzo trudne.

Członkowie Chóru i Teatru Włościańskiego spotykali się w każdą niedzielę najpierw w budynku Rady Powiatowej, a po-



tem w sali domu „Przyjaźń”. Frekwencja prawie zawsze była 100%, a zapal do pracy ogromny.

Rok 1910 był szczególnym w historii naszego narodu. Przypadała w nim bowiem 500. rocznica grunwaldzkiej glorii, zwycięstwa wojsk polskich i litewskich dowodzonych przez naszego króla i stratega Władysława Jagiełłę nad zniechęconym zakonem krzyżackim. Był to doniosły moment przypomnienia światu o sile witalnej narodu, którego żli i bezwzględni sąsiedzi pozbawili niepodległości.

Można to było zademonstrować w całej okazałości tylko w Galicji, bo korzystała z autonomii. W pozostałych dwóch zaborach wszelkie akcje patriotyczne spotykały się z szykanami i karami.

Mając na uwadze ów słynny jubileusz, członkowie zespołu pracowali z wielkim oddaniem. Chór przygotowywał pieśni patriotyczne, a członkowie Teatru sztukę autorstwa Władysława Ludwika Anczyca pt. „Kościuszko pod Raclawicami”. Przy okazji warto wspomnieć także o tym autorze, bo był to człowiek wielce zasłużony dla sprawy Ojczyzny i polskiego ludu.

Z wykształcenia chemik, farmaceuta, adiunkt UJ, z zamiłowania pisarz i poeta. Tworzył utwory o tematyce ludowej i patriotycznej z myślą o młodzieży i tych odpychanych przez całe wieki przez sfery rządzące - o chłopach.

To dla nich założył w Krakowie drukarnię „taniej książki”, a także redagował „Wędrowca” i „Kmiotka”. Jego utwory nie były najwyższego lotu, ale też ci, dla których tworzył, właśnie takich potrzebowali - prostych, zrozumiałych, trafiających do serca, patriotycznych. Drukarnia Anczyca przetrwała do lat osiemdziesiątych minionego wieku. Potem ją wyburzono, bo potrzebny był plac na nowy hotel w Krakowie. 29 czerwca 1910 roku po pochodzie zorganizowanym przez Walentego Gawrona, w którym brali udział przedstawiciele Ziemi Limanowskiej, a ks. proboszcz Kazimierz Łazarski wygłosił płomienne, patriotyczne kazanie, odegrano sztukę „Kościuszko pod Raclawicami”.

Aplauz był ogromny, a gdy na zakończenie chór zaczął śpiewać pieśń: *Bartoszu, Bartoszu, oj nie traćwa nadziei, oj nie traćwa nadziei, Bóg pobłogosławi, Ojczyznę nam zbawi. Bóg pobłogosławi, Ojczyznę nam zbawi. Nauczył Kościuszko pod Raclawicami, Jak siekierą, kosą rozprawiać z wrogami* - uniesienie doszło zenitu.



Po spektaklu „Zrękowiny u Druzgały”. Od lewej siedzą: Andrzej Postrożny, Walenty Gawron, ks. Stanisław Japoł, Jan Biernat ze Starej Wsi, Jan Śliwa - zginął na froncie 1915 r. Stoją: Franciszek Biedroń (Majcher), Katarzyna Gawron (Markowska), Rozalia Gawron, ??, Wranciszek Węgrzynek - fryzjer, ??, Stefania Dąbrowska, Walenty Kądziołka z Mordarki,

► Już po pierwszej zwrotce wszyscy wstali, a po następnych większość widzów zaczęła płakać i wznosić okrzyki świadczące o ogromnym pragnieniu odzyskania wolności kraju. Chętnych do oglądania spektaklu było tak wielu, że powtórzono go jeszcze raz w tym samym dniu o godzinie 20. Niezbyt duża sala nie pomieściła widzów i niektórzy mogli słuchać tekstu przez otwarte okna, stojąc na ulicy.

Potem nastąpiła przerwa w zajęciach chóru i teatru, bo jego uczestnicy musieli zająć się żniwami, potem wykopkami i sianiem oziminy. Dopiero późną jesienią byli wolniejsi i mogli przystąpić do przygotowania nowych widowisk. Najczęściej wybierano jednoaktówki, bo łatwiej i szybciej można się było z nimi uporać.

Tym razem kasjer Kasy Skarbowej - Dworzański wyreżyserował 2 sztuki: Władysława Ludwika Anczyca „Łobzowanie” i Eugenii Dominowej „Swaty”. Przedstawiono je już w styczniu 1911 r., zyskując zadowolenie publiczności.

Niespożyty Walenty Gawron z powodzeniem grał w obydwóch. Oprócz Walentego w przedstawieniach występowały także jego dwie siostry - Katarzyna i Rozalia, a w kolejnych latach młodsze pokolenie tego rodu.

Tak się złożyło, że część kierownictwa Teatru i Chóru Włościańskiego należała także do innych organizacji, przeważnie do „Sokoła” i w związku z tym zażądała, by pieniądze uzyskane ze sprzedaży biletów przekazać na konto ich organizacji. Członkowie Chóru i Teatru rekrutujący się z okolicznych wsi nie wyrazili na to zgody. W efekcie wymienienu opuścili zarząd. „Włościanie” wprowadzili do niego nowe osoby, a wszelkie uzyskane dochody zaczęli odprowadzać na rzecz budującego się kościoła, który miał stać się wielkim wotum dziękczynnym za uchwalenie Konstytucji 3 Maja.

Należy podkreślić, że budowniczy świątyni ks. proboszcz Kazimierz Łazarzki w pełni docenił ten gest. Ponadto zawsze włączał się do obchodów kolejnych rocznic tego majowego święta.

Do chwili wybuchu I wojny światowej wystawiono jeszcze sztukę Jana Szczęsnego Płatkowskiego „Zrękowiny u Druzgały” obrazującą dawny zwyczaj związany z zaręczynami młodych (zrękowiny - zaręczyny). Według dawnego zwyczaju zanim doszło do oficjalnych zaręczyn, wszelkie sprawy dotyczące posagu, dokładnie tego, co obydwie strony wnoszą



Budynek „Przyjaźni” przy ulicy Sąddeckiej (dziś Kościuszki), w którym wystawiane były sztuki przez Teatr i Chór Włościański w Limanowej.

do wspólnego stadła, ustalenie daty ślubu, ilości gości, rozłożenie ciężarów związanych z mającymi się odbyć godami, było wcześniej uzgodnione przez swatów, a same „zrękowiny” to przypiecztowanie uzgodnień, choć zdarzało się, że mimo wszystko mariaż nie dochodził do skutku.

Obrazek sceniczny, choć zawierał w podtekście krytykę, podobał się publiczności i był często grywany.

W tym też czasie zaprezentowano publiczności drugą sztukę tego samego autora, a mianowicie - „Cudowne leki”. Pomocną dłoń w organizowaniu przedstawień podał Walentemu Gawronowi ks. Stanisław Japoł, który przybył do parafii w 1913 r. i chętnie przyłączył się do artystycznej działalności młodzieży.

Wybuch I wojny światowej przerwał na kilka lat tę pożyteczną pracę. Młodzi poszli walczyć i ginąć za „Najjaśniejszego Pana”. Ksiądz Japoł otrzymał powołanie do wojska w charakterze kapelana wojskowego i wnet odszedł do innego świata w wyniku zaraźliwej choroby. Walenty Gawron został także wcielony do armii austriackiej i odbył całą kampanię wojenną, a potem jeszcze bronił Ojczyzny przed bolszewikami. Dwukrotnie ranny, po 3 operacjach wrócił do domu. Po zawarciu pokoju od razu przystąpił do poprzedniej działalności społecznej.

Przed wszystkim reaktywował teatr amatorski. Po zebraniu z młodzieżą w dniu 21 września 1921 r. przystąpiono do wyboru repertuaru i ćwiczeń. Równocześnie Mieczysław Mordarski - senior (1889-1959) rozpoczął pracę z chórem.

Do zespołu teatralnego zgłosiło akces wielu chłopców z Kaniny. Prawie wszyscy mieli za sobą długą wojenną zaprawę, przeżyli wiele bitew, wystawiając swe życie na niebezpieczeństwo dla potrzeb wrogiego mocarstwa, a teraz, skoro udało im się unieść głowę, chcieli popracować dla siebie i „swoich”.

Wśród nich szczególną energią i pięknym głosem odznaczał się Michał Lis (późniejszy mąż Zofii Gawronianki).

Początkowo próby i przedstawienia odbywały się w gospodzie Marcina Stocha w Raszkówkach, potem w budynku „Przyjaźni” w Limanowej.

Z przedwojennych sztuk powtórzono „Zrękowiny u Druzgały” i „Cudowne leki”. Z nowego repertuaru należy wymienić: „Pantonimę”, „Swaty” - Eugenii Dominowej, „Za nic żydowskie swaty” - Feliksa Bobowskiego oraz „Cudowny doktor” i „Lustracja u pana wójta.”

Ta ostatnia pozycja będąca krytyką pracy niektórych nieodpowiedzialnych, nie nadających się do tak ważnej roli przedstawicieli wsi, a także urzędników przysyłanych do ich kontroli, bardzo się widzom podobała. Satyra była celna, dlatego też kuplety śpiewane przez aktorów zapadały w pamięć i były nucone przy różnych okazjach przez wiele lat.

Oto przykład jednego z nich:

(...) *Panie wójcie źle z wami  
jestem ci ja na tropie,  
przyjdzie pisarz z księgami  
resztę matactw wykopie.  
I ja wszystko miarkuję,  
Ima mi się myśl głowy,*



*defraudacje tu czuje,  
bom lustrator morowy.*

Na co wójt odśpiewuje:  
*Panów ja się nie boję, bo sumienie mam  
czyste,  
jak pieczętkę przywalę, zaraz poznać  
artystę.*

Spór rozstrzyga energiczna wójtowa, która wypędza lustratora, a mężowi rozkazuje „łuskać groch” („chylaj na górę łuskać groch”). Problem prosty, ale duża doza humoru sprawiła, że widzom przedstawienie ogromnie się podobało. Widownia była przepelniona ponad miarę i spektakl trzeba było powtarzać przez kilka niedziel, co cieszyło aktorów, reżysera i organizatora.

Tak się jednak złożyło, że Walenty Gawron wyjechał na kurs, a potem do pracy w Towarzystwie Ubezpieczeń w Nowym Sączu, bo przecież musiał zarobić na swe utrzymanie. Nie miał kto zabiegać, zachęcać do pracy, załatwiać bieżących spraw i Teatr Włociański upadł w 1925 r. W ciągu 4 lat działalności wystawił 8 sztuk.

Jeszcze raz w 1929 r. Walenty Gawron założywszy w Limanowej Powiatowe Ognisko Związku Podhalan wrócił do działalności teatralnej. Miał już duże doświadczenie w tej pracy, umiał dobierać ludzi i udało mu się ponownie „ruszyć z posad bryłę świata”.

W Domu Podhalańskim odbywały się ciekawe odczyty, ale przede wszystkim występy teatralne. W repertuarze, jak poprzednio, przeważały sztuki ludowe ze szczególnym uwzględnieniem pozycji Władysława Ludwika Anczyca, bo te wzbudzały szczególne zainteresowanie widzów. Chętnych do występowania było coraz więcej, dlatego można było wybierać najlepszych i przydzielać im odpowiednie role.

Powtórzone najbardziej lubiane pozycje jak: „Łobzowanie” czy „Zrękowiny u Druzgały”, a z nowych Jana Szczęsnego Płastkowskiego - „Pan Grajcarek idzie w kumy”, Władysława Ludwika Anczyca - „Chłopi -Arystokraci” i W. Raorta - „Poseł czy komisarz”.

Prawdziwym hitem okazały się jasełka - „Betlejem polskie” Lucjana Rydla.

Było to ogromne i wspaniałe widowisko, w którym zagrało aż 100 osób. Rozmach, stroje, dekoracje przyćmiły wszelkie pozycje prezentowane do tej pory na limanowskiej scenie. Bisom nie było końca. Był to wielki tryumf amatorskiej sceny.

W tym czasie amatorskie zespoły zaczęły w Limanowej powstawać coraz częściej - w szkołach (w Limanowej i Sowlinach) czy przy Rafinerii („Odrodzenie”). Kolejowe Przysposobienie Wojskowe prowadziło również działalność kulturalną, podobnie Związek Podhalan.

Z nieznanymi bliżej powodów zespół założony przez Walentego Gawrona został rozwiązany. Odegrał on jednak bardzo ważną rolę w rozwoju amatorskiego ruchu teatralnego w Limanowej. Skupiał chętnych do tego typu działalności młodych ludzi, zapewniał godziwą rozrywkę tysiącom widzów i uczył obcowania ze sztuką.

Entuzjasta i założyciel Teatru i Chóru Włociańskiego całe swoje dorosłe życie poświęcił służbie ludu i jego lepszej przyszłości.

Potem amatorskich zespołów teatralnych przybywało, ale droga, którą podążały, była już wytyczona i łatwiejsza. Patrząc na obecne rozwinięte życie teatralne, na szkoły, które do niego przygotowują, warto czasem sięgnąć myślą do tamtych trudnych lat otwierających jego początki i ciepło pomyśleć o ludziach kładących podwaliny pod trudną sztukę dostarczenia ludziom estetycznych przeżyć i wrażeń.

**Zofia Wiśniewska**

*Dziękuję p. Wincentemu Gawronowi za udostępnienie zdjęć aktorów grających w sztuce „Zrękowiny u Druzgały”.*

**Fotografie po spektaklu „Zrękowiny”:  
Klementyny Zubrzyckiej**



Jasełka limanowskie - wystawione w latach trzydziestych w sali „Przyjaźń”. W pierwszym rzędzie siedzi drugi z lewej Mieczysław Mordarski - senior.



BANK SPÓŁDZIELCZY  
W LIMANOWEJ

# AUTOLOKATA

X edycja loterii

wygraj

nagroda  
główna



## SEAT Leon



Notebooki DELL,  
smartfony, tablety,  
kina domowe LG,  
aparaty NIKON,  
nawigacje TomTom  
i inne...



W loterii biorą udział osoby, które w dniach od 10 lutego 2014 r. do 10 maja 2014 r. założą lokatę promocyjną o nazwie „AUTOLOKATA” w dowolnej placówce Banku Spółdzielczego w Limanowej i utrzymają ją w całości do 10 listopada 2014 r. Loteria jest urządzana na podstawie zezwolenia Dyrektora Izby Celnej w Krakowie.

[www.bs.limanowa.pl/autolokata](http://www.bs.limanowa.pl/autolokata)





34-600 Limanowa, ul. Piłsudskiego 14c  
tel. 18 337 41 27 , e-mail: biuro@impuls-psb.pl

# SUPER OKAZJA !!!



**15<sup>99</sup>zł**  
25kg

**Klej K1 Uniwersalny  
klej budowlany  
do płytek ceramicznych**



**39<sup>90</sup>zł**  
25kg

**Klej K4 wysokoelastyczny  
klej do płytek**

Knauf Kleje do płytek  
**Zadowolenie na lata**

